











OSTATNI

M O H I K A N



**O S T A T N I**  
**M O H I K A N .**

**POWIEŚĆ HISTORYCZNA**

Z ROKU 1757.

**JAKÓBA FENIMORA KUPERA:**

**TŁUMACZONA**

**PRZEZ**

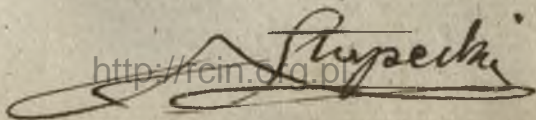
**FELIXA WROTNOWSKIEGO.**

**TOM CZWARTY:**

**M A R D .**

**W DRUKARNI B. NEUMANA.**

**1830.**



Dozwala się drukować, z tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1830 roku d. 8. Maia.

*Cenzor Leon Borowski.*



---

# OSTATNI MOHIKAN.

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

„Niechże ja teraz rolę lwa odegram.“

*Szekspir.*

**S**TRZELEC znał bardzo dobrze jak było trudne i niebezpieczne jego przedsięwzięcie. Dla tego też zbliżając się do obozu Huronów, poruszył wszystkie sprężyny dowcipu, aby wynaleść sposób uniknięcia podejrzliwej czujności nieprzyjaciół równie jak on przezornych. Przyrodzona farba jego skóry wybawiła od śmierci Maguę, i napotkanego w lesie indyjskiego kuglarza; bo zabić nieprzyjaciela bezbronnego, podług mniemania dzikich byłoby niczem,

TOM IV.

1

lecz Sokole Oko postępek taki uważał za niegodny człowieka krwi niezmięszanej. Polegając przeto na tém tylko, że mocno ich skrepował, puścił się w drogę ku mieszkaniom.

Wyszędłszy z lasu podwoił ostrożność, i znowu zaczął naśladować powolny chód zwierzęcia, którego skórą był odziany, a tym czasem bystre jego oczy niezanieczywały zbadać żadnego przedmiotu, czyliby nie mógł być mu pożyteczny lub szkodliwy. Dosyć odlegle na ustroniu od dalszych mieszkań, ujrzał jedną chatkę bardziej niekczemną i opuszczoną niż wszystkie inne: zdawało się nawet, że ten co ją budować zaczął, postrzegłszy iż najpotrzebniejszych rzeczy, drzewa i wody, nie było w bliskości, zaniechał swej roboty. Światło ognia jednak błyszczało w niej przez szpary ścian nie zamazanych gliną. Udał się więc w tę stronę jak ostrożny hetman, który przed stoczeniem bitwy chce obej-

rzyć przednie straże nieprzyjaciół, a gdy zajrzał we wnątrz przez szczelinę, poznał że to była kwatery psalmisty.

Prawowierny Dawid Gamma, tylko co wniósł tutaj swój smutek, przestach i razem pobożne zaufanie w opiece nieba. Łatwo dawało się widzieć, że głęboko zastanawiał się teraz nad dziwem, który jego oczy i uszy uderzył w jaskini.

Jakkolwiek mocno wierzył on w cuda dawniejsze, nie tak jednak był skłonny wierzyć w nowoczesne. Nie wątpił bynajmniej że oślica Balaama mogła przemówić, ale żeby niedźwiedź mógł spiewać... o tem wszakże poświadczało ucho niemyłne.

Twarz i cała postać jego wyrażała widocznie niespokojność wewnętrzną. Siedział na kupie chrustu i kiedy niekiedy wyciągał z niej po kilka gałęzi dla zasilenia ognia. Ubior jego był ten sam, jaki już opisaliśmy wyżej; miał tylko jeszcze

na głowie trójgraniasty kapelusz, którego mu żaden Huron niepozazdrościł.

Strzelec przypomniawszy nagłą ucieczkę Dawida z jaskini, domyślił się co było przedmiotem jego rozpamiętywań; a ponieważ widział że chatka była zupełnie odosobniona i nienależało lękać się aby kto o tak późnej porze odwiedził śpiewaka, ośmielił się wejść we wnątrz i wsunawszy się bez szmeru, usiadł naprzeciw niego. Cała minuta upłynęła w milczeniu: gość i gospodarz przedzieleni tylko ogniskiem, siedzieli wpatrując się nawzajem. Lecz nakoniec niespodziane zjawienie się stracha, który ciągle zajmował myśl Dawida, pokonało, nie mówmy filozofiją, ale wiarę i ufność jego. Zerwawszy się więc nagle, chwycił swój instrument w zamiarze ratowania się exorcyzmem muzycznym.

— Czarna i dziwna potworo! — zawołał osadzając drżącą ręką okulary na nosie, i w swoich karteczkach szukając śpie-

sznie hymnu stosownego do okoliczności, — nie wiem kto jesteś i czego żądasz; ale jeżeli zamysłasz co złego przeciw najpokorniejszemu słudze kościoła, niechaj cię skruszą natchnione słowa króla proroka.

Niedźwiedź polegając ze śmiechu wziął się za boki.

— Schowaj twoje cacko, — rzekł potem. — Kilka słów angielskich lepiej się teraz przyda.

— Któż więc jesteś? — zapytał Dawid prawie pozbawiony oddechu.

— Człowiek taki jak i ty, — odpowiedział strzelec; — człowiek, w którego żyłach, równie jak w twoich nie masz ani kropli krwi niedźwiedziej. Czyż nie poznajesz tego, co ci powrócił twoją gwizdatkę?

— Czy to być może! — zawołał Dawid oddychając wolniej, ale nie pojmując jeszcze tej przemiany, co mu Nabuchodonozora przywiodła na myśl; — wiele widzia-



tem dziwów, od czasu jak mieszkam wśród pogan, ale podobnego nie zdarzyło mi się widzieć.

— Poczekaj, poczekaj, — rzecze Sokole Oko zrzucając głowę niedźwiedzią; żeby uspokoić przestraszonego towarzysza; — zaraz zobaczysz twarz, która jeżeli nie jest tak biała jak dwóch pańienek naszych, to z łaski wiatru i słońca. A teraz kiedy już mię widzisz, pomówmy o rzeczy.

— Za pozwoleniem, powiedz mi tylko, co się stało z niewolnicą i młodym majorem, który przyszedł tutaj żeby ją uwolnić.

— Oboje uszli szczęśliwie z pod tomakawków łotrowskich. Ale czy nie możesz mię wprowadzić na trop Unkasa?

— Unkas siedzi w więzieniu i lękam się żeby nie przyszło mu zginąć. Szkoda byłaby gdyby taki wyborny chłopiec umarł w niewiadomości swojej; ale obratem człowieka. . . . .

— Czy nie mógłbyś zaprowadzić mię do niego ?

— Za co nie ? chociaż lękam się żeby twoje odwiedziny zamiast pociechy nie przyczyniły mu więcej zmatrwienia.

— Przestań gawędzić, a pokaż mi drogę.

To mówiac Sokole Oko przywdział znowu głowę niedźwiedzią i sam pierwszy wyszedł z budy.

W drodze Dawid wyznał towarzyszowi, że już raz odwiedzał Unkasa i bez oporu był wpuszczony do więzienia, a łatwość tę był winien naprzód temu, że dzicy szanowali go, jako człowieka pomieszanych zmysłów; powtóre, że miał łaskę u jednego z pilnujących Mohikana, który umiał kilka słów po angielsku. Właśnie tego też strażnika użył gorliwy psalmista do ułatwienia mu przystępu, aby mógł okazać swój talent nawracania. Wątpić należy czy Huron pojął dostatecznie, czego żądał nowy jego przyjaciel; ale z tém

wszystkiem, ponieważ względy szczególniejsze podobają się równie dzikim jak ludziom cywilizowanym; zaufanie Dawida nie zostało zupełnie bezskutecznem.

Nie mamy potrzeby opisywać tu zręcznych wybiegów, przez jakie Sokole Oko wyciągnął od Gammy wzzystkie te wiadomości, ani powtarzać przestrog, które dał jemu: czytelnicy nasi obaczą ich wypadek przed końcem niniejszego rozdziału.

Chata będąca więzieniem Unkasa, stała w samym śródku obozu i tak była położona, że ktokolwiekby do niej wchodził lub z niej wychodził, zawszeby został postrzeżony. Ale strzelec nie myślał zbliżać się tajemnie. Ufny w swój ubior i pewny, że potrafi odegrać przyjętą na się rolę, udał się owszem najprostszą drogą.

Noc późna sprzyjała mu jednak bardziej niż wszystkie przedsięwzięte sposoby. Dzieci już spały głęboko, Huronowie i Huronki powchodziły do mieszkań, a tylko

czterech lub pięciu wojowników, stało na straży koło chaty gdzie zamknięto więźnia.

Ci postrzegłszy Gammę przychodzącego z niedźwiedziem, którego uważali za najbieglejszego z pomiędzy swoich guślarzy, wpuścili ich do chaty bez przeszkody; ale sami nie tylko nie odeszli, lecz owszem skupili się przy drzwiach, zapewne przez ciekawość widzenia operacyi czarodziejskich, gdyż spodziewali się, że te odwiedziny nie mogły mieć innego celu.

Sokole Oko miał dwa ważne powody zachowywać milczenie: naprzód, że nie umiał mówić po hurońsku; powtóre, że lękał się aby nie poznano z głosu, iż nie był tym czyj ubior nosił. Wcześniej zatem włożył na Dawida obowiązek prowadzenia rozmowy i dał mu wiele nauk, które śpiewak mimo swoją prostotę, pojął lepiej niż można było spodziewać się po nim.

— Delawarowie baby, — rzekł Gamma do

TOM IV.

2

tego Hurona, który rozumiał trochę po angielsku; — moi współobywatele Dżankesy głupi, że zapomniawszy na to, dali im w ręce tomahawki przeciw ich ojcom kanadyjskim. Zapewne byłoby miło mojemu bratu, gdyby Jeleń Rączy zaczął prosić o spodnicę dla siebie i płakał głośno w obliczu całego narodu Huronów, kiedy jutro przywiążą go do słupa?

Wykrzyknik radości, dał poznać z jakim uniesieniem dziki widziałby tę poniżającą słabość w nieprzyjacielu, którego cały naród równie lękał się jak nienawidział.

— Kiedy tak, — rzecze Dawid, — odejdźcież trochę, a mędrzec puści swoje tchnienie na tego psa. Powiedz to dalszym moim braciom.

Huron wytłumaczył towarzyszom słowa Dawida, a ci okazali całe ukontentowanie, jakie tylko dla umysłów srogich sprawić mogło tak wyszukane okrucieństwo.



Wszyscy oddalili się na kilka kroków od chaty i dali znak guślarzowi, żeby wszedł do środka.

Ale niedźwiedź nie ruszał się z miejsca; siedział ciągle na tylnych łapach i zaczął mruczeć.

— Mędrzec lęka się żeby jego tchnienie nie padło i na braci, co mogłoby odebrać im męztwo, — rzecze Dawid; — trzeba więc odejść dalej.

Huronowie, którzy taki przypadek uważaliby za najdotkliwszą klęskę, oddalili się śpiesznie, lecz razem takie obrali stanowisko, aby drzwi mogli mieć ciągle na oku. Niedźwiedź zmierzwszy wzrokiem tę odległość, jak gdyby chciał zapewnić się czy już nie było niebezpieczeństwa dla nich, powoli wsunął się do budy.

Nie było tu innego światła prócz kilku gasnących głów w ognisku, przy którym strażnicy zgotowali sobie wieczerzę. Unkas siedział w kącie sam jeden, plecami

o ścianę oparty i mocno łyeczannemi powrozami skrępowany.

Strzelec zostawiwszy Dawida przy drzwiach dla postrzegania czyliby ich nie szpiegowano, uznał za rzecz potrzebną nie zrzucać swojego ubioru, pókiiby nie został przeczeń zapewniony; tymczasem zaś naśladował ruchy i obróty zwierza, którego skóra był odziany. Młody Mohikan sądził z razu, że nieprzyjaciele dla doświadczenia jego męztwa wpuścili tu prawdziwego niedźwiedzia, i ledwo raczył spojrzeć na niego. Lecz gdy gość ten nie okazywał zamiaru napaści, zaczął pilniej przypatrywać się jemu i jakkolwiek Sokole Oko swoje naśladowanie miał za doskonałe, dostrzegłszy w niem kilku małych uchybień, poznał kuglarstwo.

Gdyby strzelec wiedział, że jego młody przyjaciel tak źle trzymał o aktorze grającym rolę niedźwiedzia, możeby przez obrażoną miłość własną usiłował odmienić

jego zdanie; ale wzgardliwy wyraz oczu Unkasa mógł być tak rozmaicie tłumaczony, że mu to umartwiające podejrzenie nie przyszło na myśl, i skoro Dawid dał znak iż nikt nie śledzi co się we wnętrzu chaty dzieje, porzuciwszy mruczenie niedźwiedzie zaczął jak wąż syczeć.

Unkas chcąc pokazać się obojętnym na wszystko, czémkolwiek złośliwość nieprzyjaciół spodziewała się go udręczyć, miał powieki zmrużone; ale gdy posłyszał syczenie węża, podniósł głowę i rzucił wzrok bystry w koło więzienia, a oczy jego spotkawszy oczy potworu, zatrzymały się na nich jakby przez jakiś pociąg tajemny. Ten sam głos powtórzył się znowu, i zdawało się że wychodził z paszczy zwierzęcia. Spojrzenie młodzieńca jeszcze raz obiegło budę i jeszcze raz utkwilo się w niedźwiedzia, a w tejże chwili prawie dał się słyszeć cichy wykrzyknik: *hug!*

— Porozrzynaj mu więzy, — rzecze strzelec do Dawida.

Śpiewak wypełnił ten rozkaz i Unkas odzyskał wolne użycie członków.

W tymże momencie Sokole Oko, zdjął z twarzy głowę niedźwiedzią i zrzuciwszy z plec skórę, ukazał się we własnej postaci. Zdawało się że młody Mohikan przez instynkt jakiś natychmiast zrozumiał ten podstęp, lecz ani oczy ani usta jego nie wydały innego znaku zadziwienia, prócz wykrzyknika hug! Strzelec nie tracąc czasu, dał mu w ręce nóż długi z błyszczącą klingą i rzekł do niego:

— Huronowie czerwoni o kilka kroków są od nas; miejmy się na baczności.

Przy tych słowach ze znaczącem spojrzeniem położył dłoń na rękojeści podobnegoż noża zatkniętego zapasem.

— Idźmy! — rzecze Unkas.

— Do kąd?

— Do obozu Żółwiów — Są to dzieci przodków moich.

— Zapewne, zapewne, — rzecze strzelec już nie po delawarsku lecz po angielsku, gdyż ojczysta mowa zawsze jakby sama przez się przychodziła mu do ust, kiedy roztrząsał co trudnego; — bardzo wierzę że taż sama krew płynie w waszych żyłach; ale czas i oddalenie mogły nieco zmienić jej kolor. A cóż my poczniemy z tymi Huronami, co tu stoją przy drzwiach? Ich jest sześciu; naszego śpiewaka zaś nie masz co i liczyć.

— Huronowie są tylko samochwalcy, — rzecze Unkas z pogardą. — Przyjęli za *totem* łosia i chodzą jak ślimaki: Delawarowie żółwia, a biegają prędzej niż daniela.

— Tak, tak, — znowu odezwał się Sokole Oko, — słusznie mówisz. Jestem pewny, że jak na wyścigi zwyciężyłbyś cały ich naród, tak też pierwszej mógłbyś zabiedz do drugiego pokolenia i nawet wypocząć dobrze,



nimby głos którego z tych łotrów dał się tam słyszeć. Ale ludzie biali więcej mają mocy w ręku niż w nogach. Nie masz Hurona, którego bym lękał się spotkać łeb na łeb; ale w bieganiu podobno każdyby mnie przewyższył.

Unkas był już blisko drzwi, lecz usłyszawszy te słowa powrócił znowu w kąty chaty. Strzelec zajęty myślami nie zwrócił na to uwagi i mówił dalej, raczej do siebie samego niż do swego towarzysza:

— Z tem wszystkiem, niesprawiedliwie byłoby przywiązywać czyjeś nogi do cudzych. Nie . . . . . No, więc ty Unkas, spróbuj puścić się na przegon, a ja znowu włożę skórę niedźwiedzią i będę starał się chytrą wydobądź się z biedy.

Młody Mohikan nic nieodpowiedział, założył ręce na piersiach i oparł się plecami o słup podtrzymujący dach chaty.

— I cóż, — rzecze Sokole Oko patrząc na niego z niejakimś zadziwieniem; —

kogo czekasz? Ja lepiej wtenczas wyjdę, kiedy te łotry zajmą się ściganiem ciebie.

— Unkas zostanie tutaj.

— Dla czegoż?

— Bo chce walczyć razem z bratem swojego ojca, i umrzeć z przyjacielem Delawarów.

— Tak, tak, — rzecze strzelec ściskając rękę młodego Indyanina w żelaznej swej dłoni; — zostawić mię tutaj byłoby to postąpić raczej jak Mingo, a nie jak Mohikan. Ale uważałem sobie za powinność, podać ci tę propozycją; bo przywiązanie do życia właściwe jest młodości. Dobrze więc; na wojnie czego nie można doka-zać siłą, trzeba podstępem. Włóż te-raz ty skórę niedźwiedzią: spodziewam się że przynajmniej tak jak ja potrafisz ode-grać tę rolę.

Jakiegokolwiek w duszy Unkasa było zda-nie o talencie własnym i towarzysza do tego zawodu; poważna jednak powierzcho-

wność jego, nie pozwalała dostrzedz w nim najmniejszej pretensyi do wyższości. Odział się naprędce i czekał w milczeniu dalszych rozkazów.

— A teraz, przyjacielu,—rzecz Sokole Oko do Dawida; — pewno zgodzisz się zamienić ze mną odzienie, bo wiem że nie jesteś przyzwyczajony do lekkiej mody pustyniowej. Na, weź moje czapkę futrzaną, kurtkę myśliwską i spodnie: a daj mi tę płachtę i swój kapelusz trójkątny: trzeba mi nawet twoich kantyczek, okularów i piszczałki. Jeżeli zobaczymy się kiedykolwiek, powrócę ci to wszystko z pięknem podziękowaniem w dodatku.

Dawid podał strzelcowi niewielką swoje garderobę z pośpiechem, który mógłby zjednać mu pochwałę hojności, gdyby zamiana sama przez się nie była z wielu względów zyskowna dla niego. Ale kiedy przyszło do psalmów, instrumentu i okularów, nie-bez żalu rozstał się z nimi.

Strzelec przestraszył się w momencie i gdy szkło pokryło bystre jego oczy, a głowę trójgraniasty kapelusz, w pociemku mógł nie źle za Dawida uchodzić.

— Czy z przyrodzenia wielkim jesteś tchórzem?—zapytał dopiero śpiewaka tak otwarcie, jak lekarz który chce doskonale poznać chorobę, nim przystąpi do napisania recepty.

— Całe życie, Dzięki Bogu, przepędziłem w pokoju i miłości bliźniego, — odpowiedział Dawid dotknięty trochę tak nagłym natarciem na jego męztwo; — mogę powiedzieć jednak, że w największych niebezpieczeństwach nie traciłem ufności w Panu.

— Największe niebezpieczeństwo twoje przyjdzie dopiero, — rzecze strzelec, — kiedy dzicy poznają, że są oszukani i więzien im uszedł. Jeżeli wtenczas nie dostaniesz tomahawkiem po łbie—i bydlę może że nie dostaniesz, przez poszanowanie

jakie mają dla twego umysłu — to będzie można ręczyć, że umrzesz swoją śmiercią. Gdy więc zostaniesz tutaj, siedź w kącie i udawaj Unkasa, póki Huronowie nie postrzegą zdrady, a potem, jakem już powiedział, będzie chwila stanowcza; gdy zaś lękasz się tego, możesz powierzyć się twoim nogom i ciemności nocnej: od twojej woli zależy uciekać albo zostać.

— Zostanę,—bez wahania się odpowiedział Dawid; — zostanę na miejscu młodego Delawara: on szlachetnie potykał się za mnie; zrobię dla niego wszystko czego żądasz i więcej jeszcze jeżeli można.

— To powiedziałaś jako mężczyzna, — rzecze Sokole Oko, — i jako mężczyzna, który byłby zdolny do wielkich rzeczy, gdyby odebrał lepsze wychowanie.

Siadaj tam, spuść głowę i skurcz nogi pod siebie, bo ich długość zbyt prędko mogłaby nas zdradzić. Milcz póty, póki będziesz mógł tylko, a kiedy już konie-



cznie zmuszony zostaniesz głoś pokazać, natenczas najmądrzej zrobisz jeśli wezmiesz się do swoich pieśni żeby tym łotrom przypomnieć, że nie tak zupełnie jesteś odpowiedzialny za swoje postęпки jak który z nas, naprzykład. Zresztą jeżeli obedrą ci głowę, czego nie daj Boże, bądź pewny że Unkas i ja nie zapomnim o tobie i pomścimy się jak na wojowników i przyjaciół przystało..

— Poczekaj! — zawołał Dawid widząc że strzelec po tém pocieszającym zapewnieniu chciał już odejść; — jestem pokorny i niegodny uczeń pana, który potępia zemstę: gdybym więc zginął, nie posyłajcie ofiar moim cieniom; przebaczcie moim mordercom i chyba tylko proście za nich nieba, żeby ich oświeciło i dało im upamiętanie.

Sokole Oko wstrzymał się i stanął zamysłony.

— W słowach twoich, — rzecze po chwili

li, — jest duch zupełnie różny od prawidła jakiego trzymają się w lasach; ale wspomniały i godzin zastanowienia.— Westchnąwszy potem może raz ostatni na wspomnienie społeczności cywilizowanej, którą opuścił tak dawno, dodał: — Ja sam chciałbym postępować w tym duchu, jako człowiek nie mający ani jednej kropli krwi zmieszanej, ale nie zawsze łatwo obchodzić się z dzikim tak jak z chrześciani-  
nem. Bądź zdrów, przyjacielu. Niechaj Bóg czuwa nad tobą! Wszystko dobrze zważywszy i mając wzgląd na wieczność, mnie się zdaje, że nie daleki jesteś dobrego tropu; lecz wszystko zależy od wrodzonych skłonności i mniej lub więcej silnej pokusy.

To rzekłszy wziął rękę Dawida, ścisnął ją serdecznie i po tym dowodzie przyjaźni, wyszedł z chaty prowadząc za sobą nowego reprezentanta niedźwiedzia.

Kiedy zbliżyli się do Huronów, Sokole

Oko wyprężył się żeby nadać swojej postaci kołowatość Dawida i podniosłszy rękę dla wybijania taktu, zaśpiewał coś nakształt psalmu, jak mu się zdawało. Szczęściem że miał doczynienie z uszyna dzikich, które nie były ani delikatne, ani wprawne, bo inaczej zuchwałe to naśladowanie posłużyłoby tylko do odkrycia podstępów.

Lecz trzeba było koniecznie przechodzić mimo strażników: im niebezpieczeństwo to stawało się bliższe, tém mocniej strzelec głos podnosił. Nareszcie kiedy już zbliżyli się na kilka kroków, jeden Huron zaszedł im drogę i wstrzymał mniemanego psalmistę.

— A co, — rzecze wyciągając szyję ku chacie, jak gdyby usiłował przeniknąć ciemność i zobaczyć jaki skutek na więźniu sprawiły zaklęcia guślarza, — czy drży ten pies Delawar? Czy Huronowie będą mieli rokosz słyszeć jego jęki.

Niedźwiedź w tej chwili zamruczał tak groźnie i naturalnie, że Indyanin odskoczył w tył na parę kroków, jak gdyby mniemał, że to był niedźwiedź prawdziwy. Strzelec zaś lękając się odpowiedzieć, ponieważ jedne słowo wydałoby go przed znającymi głos Dawida, nie miał innego sposobu, jak tylko co najmocniej śpiewać; a chociaż w inném towarzystwie powiedziano by że ryczał, w obecnych słuchaczach jednak wzbudził to poszanowanie, jakiego oni nieodmawiają nigdy pozbawionym rozumu. Huronowie usunęli się na stronę, a spiewak i niedźwiedź poszli dalej.

Dwaj zbiegowie nasi uzbroiwszy się w odwagę i cierpliwość, musieli iść ciągle poważnym i powolnym krokiem, a ostrożność ta stała się w krótkce tém potrzebniejszą, że już ciekawość przemogła obawę strażników i wszyscy skupili się do drzwi, chcąc zobaczyć czy więzień równie był nieugięty, czy też sztuka guśla-

rza pozbawiła go męztwa. Jedno niecierpliwe skinienie, jedno niewczesne poruszenie się Dawida, mogło ich zgubić, gdyż naturalnie potrzebowali czasu do zabezpieczenia się od pogoni. Zeby tém lepiej uniknąć podejrzeń, strzelec nie przestawał śpiewać; na głos ten wielu wyglądało przeze drzwi mieszkań, jeden wojownik zbliżył się nawet do nich, lecz zobaczywszy odszedł zaraz i bez najmniejszej przeszkody pozwolił im iść dalej. Śmiałość i ciemność wspierały ich dzielnie.

Kiedy już byli dosyć daleko od mieszkań i zbliżali się do lasu, głośny krzyk dał się słyszeć w tej stronie, gdzie stała chata w której zostawili Dawida. Młody Mohikan porzucając natychmiast chód czworonożny, stanął prosto i chciał wyzuć się ze skóry niedźwiedziej.

— Poczekaj jeszcze! — zawołał towarzysz chwytając go za ramię; — to tylko



krzyk zadziwienia; obaczemy jaki będzie drugi.

Przysporzywszy jednak kroku wbiegli do lasu, a nim upłynęło parę minut, straszliwe wycie rozległo się po całym obozie Huronów.

— Teraz precz skórę, — rzecze Sokole Oko, a kiedy Unkas zrzucił swój ubiór, on tymczasem wydobywszy z pod krzaku dwie strzelby, dwa rożki z prochem i worek kul, co wszystko był tu zachował po spotkaniu się z guślarzem, dał jedną strzelbę Mohikanowi i uderzając go po ramieniu zawołał :

— Terazże niechaj te wściekłe szatany ścigają nas po pociemku, jeśli mogą: oto śmierć dla dwóch pierwszych, co się nam ukazą.

Po tych słowach obadwa trzymając broń na pogotowiu zagłębili się w puszcę.

## R O Z D Z I A Ł II.

---

„Kiedy Cezar co mówi, słuchać tylko muszę.“

*Szekspir.*

**N**IECIERPLIWOŚĆ prędko zwyciężyła obawę w dzikich strażnikach więźnia. Lękając się wszakże aby ich nie owionęło tchnienie guślarza, nie śmieli zaraz wnijsdź do chaty, i tylko zbliżywszy się ku ścianie, zaglądali przez szparę co się we wnętrzu działo.

Przy słabém świetle dogorywającego ognia, przez kilka minut Dawid wydawał się im Unkasem; lecz wkrótce nastąpiło co Sokole Oko przewidywał. Uprzykrzyło się śpiewakowi siedzieć skurczonemu i

prostując się powoli wyciągnął długie swoje nogi prawie aż do samego ogniska.

Huronowie sądzą z razu, że moc czarodziejska tak potwornie przekształciła Delaware; ale kiedy wnet Dawid podniósłszy głowę, zamiast dumnej i śmiałej twarzy więźnia, ukazał proste, łagodne i dobrze znajome oblicze, żadna już łatwowność nie mogła łudzić ich dłużej. Wpadli więc do chaty, porwali śpiewaka i gwałtownie obracając go na wszystkie strony, przekonali się do reszty że to był on sam a nie kto inny.

Pierwszy krzyk, który słyszeli zbiegowie rozległ się natenczas z tysiącem przekleństw i pogróżek zemsty. Dawid zapytywany przez Hurona umiającego trochę po angielsku, a trącany przez innych, sądził że już wybiła ostatnia jego godzina, i żeby przynajmniej dopomódz przyjaciołom w ucieczce, postanowił nie odpowiadać ani słowa. Przyszło mu jednak na myśl po-

wszechne jego lekarstwo ; ale pozbawiony instrumentu i książki musiał użyć pamięci na osłodzenie sobie przejścia do wieczności staroświeckiem pieniem pogrzebowém. Mocny i przeciągły głos jego przypomniał dzikim z kim mają do czynienia : rzuciwszy więc jako szaleńca , wybiegli z chaty i wołaniem na gwałt poruszyli cały oboz.

Wojownik indyjski nie stroi się długo : broń jego dzień i noc jest pod ręką. Za ledwo rozległ się krzyk trwogi, ze dwiestu Huronów , stanęło w zupełnej gotowości do boju. Wiadomość o ucieczce więźnia rozbiegła się równie prędko i całe pokolenie zgromadzone koło domu rady, czekało już niecierpliwie na rozkazy wodzów , którzy rozprawiali coby mogło sprawić wypadek tak niespodziany i coby przedsięwziąć należało. Nieobecność Magui zaraz uderzyła wszystkich: zdziwieni że się w takiej okoliczności nie znajdował

po między nimi, a razem przekonani ile jego chytryść i przebiegłość mogła być im użyteczną, wysłali gońca do jego chaty prosząc aby przybył natychmiast.

Tymczasem kilku żwawych i odważnych młodzieńców odebrało rozkaz, obiedz w koło obozu i zwiedzić las w stronie podejrzanych sąsiadów Delawarów, dla zobaczenia czy nie ułatwili oni ucieczki więźniowi i czy nie gotują niespodziewanej napaści. Kiedy tak wodzowie roztropnie i poważnie naradzali się w domu rady, cały oboz był w zamieszaniu; kobiety i dzieci z wrzaskiem biegały tu i owdzie.

Wołanie wychodzące z brzegu lasu oznajmiło w tém nowy jakiś wypadek i zrodziło nadzieję, że się objaśni niepojęta dla wszystkich tajemnica. Wkrótce ukazała się kupa przychodzących wojowników; tłum rozstąpił się na dwie strony i wpuścił ich do domu rady z biednym guślarzem, znalezionym przy drzewie w tém niewygo-



dnem położeniu, w jakim go Sokole Oko umieścić.

Chociaż względem mędrca rozmaite były zdania Huronów, i jedni go uważali za oszusta, a drudzy szczerze wierzyli w jego nadprzyrodzoną władzę: wszyscy atoli słuchali go teraz z głęboką uwagą. Skoro skończył on krótką swoją historją; ojciec kobiety chorej wystąpił na śrzodek i opowiedział także co mu się zdarzyło tego wieczoru. Dwa te opowiadania nadały domysłom trafniejszy kierunek: poznano, że ten co zdarł guślarzowi skórę niedźwiedzią, grał w obecnym zdarzeniu główną rolę, i postanowiono pójść do jaskini, żeby zobaczyć co się w niej działo i czy branka nie znikła także.

Nie tłumnie jednak i bez porządku przystąpiono do tych odwiedzin, lecz wybrano na to dziesięciu najpoważniejszych wodzów. Skoro wybór został ogłoszony, deputowani powstali ze swoich miejsc

w milczeniu, i puściwszy naprzód dwóch najstarszych z pomiędzy siebie, udali się do jaskini. Stanąwszy u kresu swojej podróży weszli oni do ciemnego lochu, z odwagą wojowników gotowych dla dobra publicznego poświęcić życie i walczyć ze straszną istotą zamkniętą w grocie, chociaż niektórzy z nich wątpili w ducha o jej władzy a nawet i bytności.

Cichość panowała w pierwszym przedziale jaskini, i gdyby nie mieli ostrożności opatrzyć się w pochodnie znaleźliby ciemność. Chora, chociaż jej ojciec mówił, że lekarz ludzi białych wyniosł ją do lasu, leżała wyciągniona na swoim pościeli z liści. Starzec biorąc milczenie towarzyszków za dotkliwą wymówkę kłamstwa, i sam niewiedząc jak miał sobie tę okoliczność tłumaczyć, wziął pochodnię i z niedowierzaniem zbliżywszy się do łoża, poznał swoją córkę, a razem postrzegł że już nie żyła.

Uczucie wrodzone przewyciężyło zrazu sztuczną moc duszy dzikiego: stary wojownik z gwałtowném wzruszeniem pokazującym głębokość żalu, zakrył sobie dłonią oczy; lecz natychmiast odzyskując panowanie nad sobą, obrócił się do towarzyszków i rzekł spokojnie:

— Zona młodego brata naszego opuściła nas. Wielki Duch jest rozgniewany na swoje dzieci.

Smutna nowina ta została przyjęta w milczeniu, a tejże chwili prawie dał się słyszeć za przegrodą szelest, którego przyczyny odgadnąć nie można było. Przesądniejsi z pomiędzy Indyan spojrzeli po sobie i nie mieli chęci posuwać się ku miejscu, gdzie jak mniemali siedział duch morderca zmarłej. Gdy kilku odważniejszych otworzyło drzwi do drugiej groty, nikt nie śmiał pozostać w tyle i wszyscy wszedłszy tutaj, postrzegli Magucę z wściekłością targającego więzy i tarzającego się

po ziemi. Jeden głos wyraził zadziwienie powszechne.

Skoro bez zwłoki uwolniono mu głęę i przecięto rzemienie, powstał na nogi, o trzął się jak lew wychodzący z swojej jamy i nie rzekł ani słowa, lecz chwyciwszy za rękojeść noża, rzucił w koło szybkie spojrzenie, jak gdyby szukał kogo mógł zamordować dla nasycenia swęj zemsty. Ale postrzegłszy samych tylko przyjaciół, zgrzytnął zębami tak głośno iż kto-by pomyślał, że były żelazne, i strawił swą wściekłość nie mając na kogo jej wyrzucić.

Obecni lękali się rozdrażniać człowieka tak porywczego; kilka minut upłynęło w milczeniu; nakoniec najstarszy wódz odezwał się w te słowa:

— Widzę że mój brat spotkał się z nieprzyjacielem; gdzie on jest, żeby Huronowie pomścić się mogli?

— Niechaj Delawar umiera! — zawołał Magua głosem grzmiącym.

Znowu krótkie milczenie nastąpiło dla tejże samej przyczyny, i potem znowu tenże sam wódz przemówił:

— Mohikan ma dobre nogi i umie ich używać; ale młodzi wojownicy nasi poszli w pogoń za nim.

— Uszedł więc! — zawołał Magua z głębi piersi głuchym i przytłumionym głosem.

— Zły duch wmieszał się pomiędzy nas, — rzecze stary wódz; — i oślepił Huronów.

— Zły duch! — powtórzył Magua z gorzkiem urąganiem; — tak jest, zły duch, który tylu Huronów pogubił. Zły duch, który pozabijał naszych towarzyszków na skale Glenu; który zabrał włosy pięciu wojownikom naszym przy źródle zdrowia, który teraz związał Chytrego Lisa!



— O kimto mój brat mówi? — zapytał tenże sam starzec.

— O tym psie, co pod skórą białą ma siłę i zręczność Hurona, — zawołał Magua; — o Długim Karabinie.

Straszne to imie sprawiło na obecnych zwyczajne swe wrażenie. Cichość panowała chwil kilka śród przerażonych wojowników; lecz skoro ochłonawszy pomysłili o tém, że najzawziętszy i najzuchwalszy ich nieprzyjaciel na ich wzgardę i hańbę ze śródka obozu uprowadził im więźnia, ta sama wściekłość, którą pałał Magua, ogarnęła wszystkich i wyzionęła się w zgrzytaniu zębów, przekleństwach, wyciu i groźbach straszliwych. Wkrótce jednak dzicy zaczęli się uspakajać i wrócili do zwyczajnej sobie powagi.

Magua także zebrawszy tymczasem myśli, zmienił postępowanie i z krwią zimną a razem godnością odpowiednią jego znaczeniu, rzekł do towarzysów:

— Idźmy na radę wodzów, oni nas czekają.

Nikt mu nie odpowiedział na to i wszyscy wyszedłszy za nim z jaskini, udali się do izby narad. Tu skoro zasiedli, oczy całego zgromadzenia, zwróciły się na Maguę. Poznał on czego żądano od niego, i opowiedział swój przypadek, równie wierne jak bez przesady. Opowiadanie to wspólnie z tém co już wiedziano, przekonało Huronów, że byli oszukani przez Dunkana i Strzelca. Najgorliwsza zabobonność nawet nie mogła dopiero zdarzonych wypadków przypisać wtraceniu się władzy nadprzyrodzonej i tém mocniej wstyd dotykał oszukanych.

Kiedy Magua skończył mówić, wszyscy wojownicy, ktokolwiek bowiem mógł wciśnąć się każdy był obecny w domu rady, spoglądali jedni na drugich zdumieni niestęchanem zuchwalstwem i powodzeniem nieprzyjaciół. Nadewszystko jednak

zajmowała ich myśl o sposobach pom-  
szczenia się tej zniewagi.

Nowy oddział wojowników został wy-  
słany jeszcze na śledzenie zbiegów, a tym  
czasem wodzowie naradzali się ciągle.

Wielu starych wodzów podawało roz-  
maite środki, Magua słuchał ich nie wda-  
jąc się w żadne roztrząsanie. Chytry ten  
Indyanin odzyskawszy władzę nad so-  
bą samym, przybrał zwykłą obojętność  
i zmierzał do założonego celu tą skrytą i  
ostrożną drogą, jakiej trzymał się zawsze.  
Dopiero, kiedy wszyscy, którzy mieli coś  
powiedzieć otworzyli swoje zdania, powstał  
on z miejsca, a właśnie w tej chwili kil-  
ku posłańców weszło z oznajmieniem, że  
ślady zbiegów były skierowane ku obozo-  
wi Delawarów.

Chwyciwszy się tej nowiny pomyslniej  
jego zamiarom, mówca zabrał głos i wy-  
łożył swój plan tak zręcznie i wymownie,  
że jednogłośnie przyjęty został. Pozostaje

nam dać poznać treść jego i powody jakiego nastąpiły.

Powiedzieliśmy już, że podług pewnej polityki, której nieodstępowano prawie nigdy, dwie siostry zaraz po przybyciu do obozu Huronów rozdzielone zostały. Magua znał to bardzo dobrze, iż mając w swym ręku Alinę, daleko był pewniejszy władzy nad Korą, niż żeby ją samą uwięził. Zostawiwszy przeto u siebie młodszą, starszą oddał pod straż wątpliwym sprzymierzeńcom Huronów, Delawaróm. Urządzenie to było doczesne i miało trwać dopóty, pokiby oba pokolenia przemieszkiwały w sąsiedztwie, a dogadzając zwyczajowi narodowemu pochlebiało razem Delawarom, jako dowod ufności.

Magua pobudzany pragnieniem zemsty, które nie ostyga w dzikim, aż póki nie zostanie zaspokojone, miał jeszcze inne widoki osobiste. Błędy i występki jego młodości musiały być pierwszej zatarte

przez długie i ciężkie usługi, nimby mógł spodziewać się odzyskać stracone zaufanie swojego narodu, bez zaufania bowiem nie masz u Indyan władzy. W tak trudnem położeniu przebiegły Huron niezaniebýwał żadnego śródka, przez któryby mógł nabyć większego wpływu; a najszcześliwszy krok do tego udało mu się uczynić przez zręczne pozyskanie względów u możnych i niebezpiecznych sąsiadów. Wziętość ta odpowiadała przedziwnie rachubom jego polityki, gdyż Huronowie nie są wyjęci od tej zasady panującej w naturze ludzkiej, że każdy ceni swoje przymioty w miarę tego jak je cenią drudzy.

Lecz czyniąc ofiary dla interesu powszechnego, Lis Chytry nigdy nie spuszczał z widoku korzyści własnych; a teraz wypadek niespodziany pomieszał mu wszystkie szyki. Gdy bowiem więźniowie wymknęli mu się z ręki, ujrzał się nagle zmuszonym prosić tych o łaskę, których



jego systemat polityczny zobowiązywać kazał.

Nie jeden wódz podawał rozmaite sposoby, jakiemiby można ubiedz Delawarów, opanować ich oboz i odebrać jeńców; bo wszyscy zgadzali się na to, że honor narodu wymagał, aby ci byli poświęceni powszechnej zemście i nienawiści. Ale Magua łatwo potrafił zbić te plany, równie niebezpieczne jak płonne. Z właściwą sobie zręcznością okazał naprzód ich trudność, a potem kiedy już przekonał iż żaden z podanych projektów przyjęty bydz nie może, ośmielił się odkryć swoje zdanie.

Wszelako zaczął jeszcze od głaskania miłości własnej słuchaczów, a w tym celu wyliczywszy długi szereg zdarzeń, w których Huronowie dali dowody odwagi i wytrwałości w poszukiwaniu zemsty za poniesione krzywdy, zrobił apostrofę na pochwałę ostrożności, wystawując ją jako

główną cechę odróżniającą bobra od innych zwierząt, inne zwierzęta od człowieka, a nakoniec Huronów od wszystkich ludzi. Rozwodząc się czas nie mały nad zaletami tej cnoty, przeszedł do uwag, jakby jej użyć należało w obecnem położeniu narodu. Z jednej strony, jego zdaniem, należało mieć wzgląd na ich wspólnego ojca, wielką twarz bladą, rządzcę Kanaady, który złém okiem poglądał na Huronów, gdy widział ich tomahawki zaczerwienione; z drugiej, nie powinni byli zapominać iż mają rzecz z pokoleniem, które równie liczne, a obcego szczepu, różnej mowy i nieprzyjazne Huronom, gotowe chwycić się najmniejszej zręczności dla ściągnięcia na nich gniewu wielkiego wodza białych.

Mówił potem o potrzebach narodu, o darach jakich mieli prawo spodziewać się w nagrodę położonych zasług, o dalekości stanowiska od lasów gdzie polowali

zwykle ; a z każdego względu starał się przekonać , iż w okolicznościach tak ciężkich bardziej należało działać podstępem, niżeli przemocą.

Kiedy zaś postrzegł, że gdy starcy skinieniem pochwalali to umiarkowanie, młodzi i najwaleczniejsi wojownicy przeciwnie, marszczyli czoła : zaraz zszedł do przyjemniejszego dla nich przedmiotu i zaczął dowodzić, że owocem zalecanej dopiero przezeń ostrożności będzie tryumf zupełny ; dał do zrozumienia nawet, że prowadząc rzecz przyzwoicie mogli spodziewać się ujrzeć z czasem całkowitą zagładę tych wszystkich, kogo nienawidzić mieli powod. Słowem, tak umiał obok ponęt wojny stawić zalety przebiegłości i podstępów, iż równie pochlebając chciwym krwi rozlewowi, jak tym, co bardziej wytrawieni w ostatecznym tylko razie życzyli chwycić się do broni, w obu stronach ożywił

nadzieję, chociaż żadna z nich jeszcze nie pojmowała jego zamiarów.

Polityk lub mowca zdolny tak usposobić umysły, rzadko kiedy nie pozyskuje u spółobywateli powszechnej wziętości. Bez względu na to jak potomność będzie o nim sądziła. Całe zgromadzenie poznało, że Magua nie powiedział wszystkiego co myślał, lecz każdy pochlebiał sobie, że myśl zatajona była zgodna z jego życzeniem.

Tak szczęśliwy stan rzeczy uwieńczył zatem przebiegłość Magui i dziwić się temu nie należy zważywszy na sposób, jakim pospolicie na zgromadzeniach radzących, mowca pociąga umysły. Całe pokolenie jednogłośnie oddało się w tej mierze pod przewodnictwo wodza, który tak wymownie, chociaż niedosyć jasno obiecywał tyle korzyści.

Magua dopiero otrzymał cel, który jego chytry i przedsiębiorczy umysł zakła-

dał. Odzyskał zupełnie utracone stanowisko w opinii swoich spółobywateli i ujrzał się na czele całego narodu, okryty władzą chociaż trwałą tylko w miarę trwałości pozyskanych względów powszechnych, lecz mianowicie podczas pobytu pokolenia w kraju nieprzyjacielskim, tak despotyczną, jakiej żaden monarcha nie ma. Stosownie tedy do nowo otrzymanej godności odrzucił pozor naradzania się z innymi i wzięwszy odtąd na siebie wszystko, zaczął natychmiast dawać rozkazy z powagą najwyższego wodza Huroków.

Rozesłał na wszystkie strony szukać pewniejszego jeszcze śladu zbiegów; kazał najsprawniejszym szpiegom udać się na wzwiady pod oboz Delawarów; odprawił wojowników, czyniąc nadzieję, iż wkrótce będą mieli zręczność dać dowody odwagi, a kobietom powiedział żeby z dzie-



ćmi siedziały w chatach cicho i nie mieszały się do spraw męzkich.

Zrobiwszy tak rozmaite urządzenia obzedł oboz nie zanedbując wstąpić do tej lub owej budy, gdzie spodziewał się swoją obecnością zaszczycić albo ująć gospodarza. Słowem starał się w przyjaciółtach ufność utwierdzić, obojętnych pociągnąć, a podobać się wszystkim.

Nakoniec powrócił do swojej chaty. Zona, którą opuścił kiedy był zmuszony uciekać od swego narodu, już nie żyła; dzieci nie miał, mieszkał zatem zupełnie jak samotnik w niodokończonej budzie, gdzie Sokole Oko znalazł Dawida, bo Huron dał jemu u siebie przytułek, i kiedy byli razem znosił jego obecność z obojętnością pogardzającej dumy.

Tu więc schronił się Magua po swoich politycznych trudach; lecz kiedy inni spali, on nie myślał o wypoczynku. Gdyby jaki Huron chciał szpiegować czynności no-

woobranego wodza, widziałby go od chwili kiedy przyszedł, aż do czasu na który kazał jutro stawić się u siebie pewnej liczbie wojowników, ciągle siedzącego w głębokim zadumaniu. Kiedy nie kiedy tylko podniecał przygasły ogień, a wtenczas gdy żywszy blask padał na jego postać czerwoną i twarz szkaradną, łatwo można go było wziąć za księcia ciemności, zajętego knowaniem czarnych podstępów.

Jeszcze zorza nie zaświtała na niebie, a już wojownicy zaczęli schodzić się pojedynczo do samotnego mieszkania Magui. Każdy z nich miał strzelbę i dalszą zbroję, lecz twarz spokojną i nieumalowaną w godła wojenne. Przybycie ich nie obudziło żadnej rozmowy. Jedni siedzieli po kątach, drudzy stali milczący i nieporuszeni jak posągi, aż póki ostatni nie dopełnił ich liczby.

Magua natenczas podniósł się z miejsca, stanął na ich czele i dał znak do pocho-

du. Wszyscy udali się za nim idąc pojedynczo rzędem, a zupełnie różni od żołnierzy naszych zawsze szumnie ruszających z miejsca, bez najmniejszego szelestu opuścili oboz, podobni raczej do cieniów nocnych, niżeli do wojowników śpieszących krwią okupywać czczą sławę.

Niewiadomo dla jakiej przyczyny chytry wódz nie wziął się drogą prosto wiodącą do obozu Delawarów, lecz poszedł brzegiem strumyka, aż do stawu bobrów. Dzień zaczynał już świtać kiedy przechodzili trzebież przez te pracowite zwierzęta zrobioną. Magua, był już ubrany zwyczajem Huronów i na skórze pokrywającej mu barki miał odmalowanego lisa. W orszaku jego znajdował się wojownik, który za godło, czyli *totem* przyjął sobie bobra; ten ujrzawszy tak liczne zgromadzenie swoich przyjaciół, pominąć ich bez złożenia przyzwoitego hołdu, poczytywałby za grzech świętokradztwa.

Zatrzymał się więc i zaczął do nich mowę jak do istot rozumnych. Oświadczył się im naprzód z pokrewieństwem, doniósł że jego opiece winni byli spokojność, ponieważ chciwi kupcy podżegali już Indyan do wydzierania im życia; przyrzekł nadał swoje względy i zalecał wdzięczność dla siebie. Opowiedział potem na jaką idzie wyprawę i dał chociaż bardzo nieznacznie i delikatnie do zrozumienia, iż powinneby swojego kuzyna natchnąć roztropnością, z której same tak są głośne.

Podczas osobliwszej tej przemowy, towarzysze jego stojąc poważnie słuchali z uwagą, jak gdyby wszyscy przekonani byli, że to tylko mówił, co istotnie powinien był powiedzieć. Kilka bobrów wynurzyło głowy nad wodę; Huron ucieszony, że nie przemawiał nadaremno wpadł jeszcze w większy zapał, a w tém z jednej chatki stojącej daleko od innych i jak się zdawało opuszczonej, ukazała się

głowa bobra wielkiego nadzwyczaj. To było już dla mowcy więcej niż spodziewaną odpłatą; łaskę tę wziął za znak dobrej wroźby i chociaż bobr skrył się z niejaką pierzchliwością, nie zaniedbał osypać go mnóstwem pochwał i dzięków.

Magua osądziwszy, że już dosyć pozwolił czasu na to wylanie się miłości familijnej, kazał ruszyć dalej. Kiedy szereg Indian posuwał się krokiem, którego ucho Europejczyka posłyszeć nie zdołało, tenże sam bobr szedziwy wyjrzał znowu ze swojej kryjówki. Gdyby który Huron obejrzał się natenczas postrzegłby, że zwierzę zważało na ich obróty z ciekawością i uwagą istoty rozumnej. W rzeczy samej wszystkie usiłowania bobra zdawały się tak dobrze skierowane do tego celu, iż najprzezorniejszy badacz nie umiałby wytłumaczyć sobie tego zdarzenia aż póki Huronowie nie weszli do lasu; wtenczas bowiem zamiast czworonożnego szpie-



ga, poważny i milczący Szyngaszguk wyszedłszy z chatki zdjął swoje futrzaną maskę.

---

### ROZDZIAŁ III.

---

„Tłumacz się krótko ; mam wiele na głowie.“

*Szeks p i r.*

**D**ELAWAROWIE obozujący blisko Huro-  
nów, liczyli w swoim pokoleniu, albo  
famił, tyluż prawie wojowników, co i  
depiéro wspomnieni ich sąsiedzi. Podo-  
bnie jak wszystkie okoliczne ludy, szli o-  
ni z Montkalmem do krajów korony an-  
gielskiej i często plądrowali lasy, w któ-  
rych polować Mohawkowie wyłączne przy-  
pisywali sobie prawo; lecz przez jakiś  
rozmyst Indyanom właściwy, podobało się  
im opuścić jenerała francuzkiego, właśnie  
w tę porę, kiedy ich pomoc najpotrzebniej-  
sza była, to jest w pochodzie pod William  
Henryk.

Francuzi rozmaicie tłumaczyli to niespodziewane odpadnięcie sprzymierzeńców: mniemanie powszechne jednak było, że Delawarowie ani nie chcieli przestąpić traktatu, który podawał ich pod opiekę i obronę Irókanów, ani też walczyć przeciw tym, których od dawna za swoich panów uważać nawykli. Kiedy zaś zapytano ich samych, odpowiedzieli z lakonizmem indyjskim, że siekiery ich są stępione i potrzebują czasu do wyostrzenia. Wielkorządca Kanady uznał za rzecz roztropniejszą cierpieć przyjaciół podejrzanych, niżeli przez jakiś postępек surowości niewczesnej, zamienić ich w nieprzyjaciół otwartych.

Tego ranku, kiedy Mągua jakeśmy już mówili, przechodził ze swoim hufcem milczącym mimo siedliska bobrów, słońce wszedłszy nad oboz Delawarów znalazło wszystkich tak zaprzątńionych, jak gdyby już południe było. Kobięty jedne przy-

rzędały śniadanie, drugie nosiły drzewo, lub wodę; każda prawie wszakże zatrzymywała się przy tej lub owej budzie, dla powiedzenia czegoś sąsiadce prędko i po cichu. Wojownicy tu i ówdzie stali w gromadach, lecz raczej myślami niżeli rozmową zajęci; a jeżeli który przemówił czasem, to znacznie było, że się zastanawiał pierwej, co miał powiedzieć. Narzędzia myśliwskie leżały przygotowane po chatach; ale nikt nie śpieszył do nich. Gdzie niegdzie, dawał się widzieć wojownik zajęty opatrywaniem broni z taką pilnością, jaka rzadko ma miejsce, kiedy chodzi tylko o spotkanie się ze zwierzyną. Często oczy całej którejkolwiek gromady zwracały się razem na wielką chatę stojącą pośrodku obozu, jak gdyby w niej znajdował się przedmiot wszystkich myśli i rozmów.

Tymczasem jakiś nieznamy Iudyjanin ukazał się na brzegu podniesionej i skali-

stej płaszczyzny, będącej stanowiskiem obozu. Nie miał on żadnej broni, a twarz jego była umalowana w taki sposób, iż zdawało się że usiłował złagodzić przyrodzoną jej srogość. Skoro go Delawarowie postrzegli, zatrzymał się i dał znak pokoju i przyjaźni, podnosząc naprzód rękę do nieba, a potem kładąc ją na piersiach. Odpowiedziano mu podobnież i przez wielokrotne powtarzanie giestów przyjacielskich ośmielano żeby się zbliżył.

Zapewniony o dobrem przyjęciu ruszył się z miejsca i poważnie zaczął postępować ku mieszkaniom, a gdy jego postać ciemna rysowała się co raz wyraźniej na świetnym tle porankowego nieba, żaden szmer nie towarzyszył jego krokóm, prócz brzęku srebrnych blaszek zdobiących mu ramiona i szyję, a małych dzwoneczków koło morkasinów z danielowej skóry. Każdemu mężczyźnie, mimo którego przechodził, czynił on skinienie przyjaźne, lecz



na kobiety nie raczył zwracać uwagi, jak gdyby sądził że dla dopięcia celu swojego przybycia, nie miał potrzeby ich ujmować. Kiedy zbliżył się do gromady złożonej z mężów dumnej i okazałej postawy, miarkując iż byli celniejszymi wodzami zatrzymał się przed nimi, a ci ujrzeli, że gość ich był to dobrze znajomy wódz huroński, Lis Chytry.

Przyjęto go zatem w milczeniu, z ceremonialną powagą. Wojownicy stojący na przedzie ustąpili z drogi, żeby dać miejsce temu, co był uważany pomiędzy nimi za najlepszego mówcę i posiadał wszystkie języki, jakich używają dzicy Ameryki północnej.

— Mądry Huron jest miłym gościem u nas, — rzecze Delawar mową Magwów; — będzie on ze swoimi braćmi jeziernymi *suk-ka-tusz* spożywał.

— Po to też on i przychodzi, — odpo-

wiedział Magua z całą godnością księcia wschodniego.

Wódz Delawarów na znak przyjaźni podał mu rękę, Huron ją przyjął i uścisnął, a natenczas pierwszy z nich zaprosił przychodnia do swojej chaty na śniadanie. Trzech lub czterech starych wodzów udało się razem z nimi; inni zaś pozostali miotani najżywszą ciekawością dowiedzenia się powodu niespodziewanych tych odwiedzi złe, nie okazując jednak tego ani najmniejszém skinieniem, ani jakimkolwiek bądź sposobem.

Przy śniadaniu rozmowa była bardzo ostrożna i toczyła się tylko o wielkiem polowaniu, które jak wiedziano, Magua robił na łosie przed kilku dniami. Najbieglejsi dworacy niepotrafiliby lepiej od Delawarów udawać, iż odwiedziny te uważali tylko za prostą sąsiedzką grzeczność, chociaż w duchu przekonani byli, że pewno jakiś tajemny i ważny powód skłonił

do nich Hurona. Skoro skwawy zebrały naczynia i resztki pokarmu, dwaj mowcy wystąpili na plac z chytrą i dowcipem.

— Twarz naszego ojca Kanady, czy zwróciła się znowu ku Huronom? — zapytał Delawar.

— Alboż była kiedy odwrócona od nich? — odpowiedział Magua; — ojciec nasz nazywa Huronów, najmilszymi dziećmi swojemi.

Delawar lubo przekonany inaczej, uczynił potwierdzające skinienie i dodał:

— Sikiery wojowników waszych były dosyć czerwone!

— Tak jest, — rzecze Magua, — a teraz chociaż jasne ale są tępe, bo już Dżankesy pobici, a za sąsiadów Delawarów mamy.

Na ten komplement, Delawar odpowiedział tylko wdzięcznym ujęciem i zamilkł.

Korzystając z napomknienia o rzezi William Henryka, Magua zapytał:

— Niewolnica moja, czy nie jest ciężarem dla moich braci?

— Radzi ją widzimy u siebie.

— Droga od obozu Delawarów do Huronów niedaleka i łatwa; jeśliby się ona przykrzyła moim braciom, mogą ją odeśłać skwawom naszym.

— Radzi ją widzimy, — powtórzył Delawar dobitniej.

Magua milczał czas niejakiś, udając wszakże iż obojętnie przyjął zbywającą odpowiedź na jego nieznaczne dopominanie się o powierzona brankę, a potem przemówił:

— Spodziewam się że młodzi wojownicy moi zostawują przyjaciołom naszym Delawarom dosyć miejsca do polowania w górach.

— Lenapy nie potrzebują brać od nikogo pozwolenia na polowanie po górach należących do nich samych, — odpowiedział dumnie gospodarz domu.

— Zapewne, sprawiedliwość powinna panować między czerwonymi; dla czegoż-

by mieli oni podnosić noże i tomahawki jedni na drugich? czyliż twarze blade nie są wspólnymi ich nieprzyjaciółmi.

— Prawda! — zawołało razem kilku słuchaczów.

Magua zaczekawszy nieco, żeby to co powiedział uczyniło na Delawarach cały swój skutek, zapytał:

— Czy nie chodzą po lasach mokiaski obce? bracia moi czy nie czują śladów ludzi białych?

— Niech nasz ojciec z Kanady przychodzi; dzieci jego gotowe są na jego przyjęcie.

— Wielki wódz jeżeli przyjdzie to po to żeby w wigwamach Indyan palić z nimi tytoń, a natenczas i Huronowie powiedzą także: radzi mu jesteśmy. Ale Dżankesy mają długie ręce i nogi niemordujące się nigdy. Sniło się młodemu wojownikom moim, że blisko obozu Delawarów widzieli ich ślady.



— Niechaj i oni przychodzą; nieznajdą Lenapów śpiących.

— Słusznie, wojownik powinien mieć oko otwarte na swoich nieprzyjaciół, — odpowiedział Magua, a widząc, że nie mógł wyprowadzić w pole ostrożnego przeciwnika, udał się do nowego wybiegu.

— Mam ja tu kilka podarunków dla moich braci, — rzecze; — mieli oni swoje powody nie iść na pole wojny; ale przyjaciele nie zapomnieli drogi do ich mieszkań.

Oświadczywszy tym sposobem swoją hojność, chytry wódz powstał i poważnie przed rozigranemi oczyma Delawarów rozłożył przyniesione dary. Składały się one po większej części z ozdób małej wartości zdartych z nieszczęśliwych kobiet, pomordowanych podczas rzezi William Henryka; ale Magua umiał dodać im ceny i rozdzielić zręcznie. Najświetniejsze błyskotki ofiarował dwóm znakomit-

szym wojownikóm, w liczbie których znajdował się i Serce Kamienne, gospodarz chaty; mniej pozorne, dostały się wodzom niższego rzędu, z dodatkiem słów tak pięknych, że i ci na nierówność podziału narzekać nie mogli. Słowem trafne użycie pochlebstw i hojności sprawiło pożądaný skutek, a dawca łatwo mógł wyczytać w oczach sąsiadów udarowanych, jakie wrażenie uczyniły jego dary i pochwały.

Surowa powaga Delawarów zmiękła natychmiast; twarze ich przybrały wyraz bardziej uprzejmy; sam nawet Serce Kamienne, który przezwisko to był winien zapewne jakim czynóm odpowiednim, przypatrując się chwil kilka swojej cząstce zdobyczy z zadowoleniem widoczném, rzekł do Magui:

— Mój brat wielki wódz! Radzi mu jesteśmy.

— Huronowie są przyjaciółmi Delawarów. — odpowiedział Magua. — Ale i

dla czegożby nie mieli im sprzyjać? Czyliż nie jedno słońce czerwieni ich skórę? Czyliż nie w jednym lesie będą polowali po śmierci? Ludzie czerwoni powinni żyć w przyjaźni i mieć oczy otwarte na białych. Brat mój czy nie widział w puszczy śladu szpiegów jakich?

Delawar zapomniał, że zbył lada jako też samo pytanie, kiedy mu było uczynione w innych wyrazach i udobruchany datkiem, raczył teraz odpowiedzieć bardziej do rzeczy:

— Widziano za obozem mokkasiny cudzoziemców. Weszli oni nawet do mieszkań naszych.

— I mój brat wygnał tych psów zapewne? — zapytał Magua, nie postrzegając nihy że terażniejsza odpowiedź Delawara przeciwiała się dawniejszej.

— Nie. Cudzoziemiec zawsze jest gościem u dzieci Lenapów.

— Cudzoziemiec, zgoda; ale szpieg!

— Alboż Dżankesy używają swoich kobiet za szpiegów? Czyliż wódz huroński nie mówił, że zabrał kobiety w niewolę na wojnie?

— Nie mówił on kłamstwa. Dżankesy przystali szpiegów. Przyszli oni do wigwamów naszych; ale nieznaleźli tam nikogo ktoby im powiedział: jesteście gośćmi u nas. Uciekli więc i poszli do Delawarów, bo powiadają, że Delawarowie są ich przyjaciółmi i odwrócili twarz od swojego ojca Kanadyjskiego.

Zręczne to podejście w społeczności ucywilizowanej cokolwiek więcej, zjednałoby dla Magui opinią biegłego dyplomatyka. Delawarowie wiedzieli bardzo dobrze że nieczynność ich w czasie wyprawy na zdobycie William - Henryka, dała powód Francuzom do wielu wymówek i nieufności; a bez wielkiego zgłębiania przyczyn i skutków, łatwo było pojąć, iż taki stan rzeczy mógł być dla nich bardzo

szkodliwy na przyszłość, ponieważ zwyczajne ich mieszkania i knieje najobfitsze w zwierzynę leżały w granicach francuzkich. Ostatnie zatem słowa Hurona były nieprzyjemną, a może i zastraszającą nowiną.

— Niech nasz ojciec Kanadyjski spojrzynam oko w oko, — rzecze Serce Kamienne; — obaczy on że się jego dzieci nie zmieniły. Młodzi wojownicy nasi nie szli wprawdzie na pole wojny; sny złowieszcze były im przeszkodą; ale nie mniej przeto szanują oni i kochają wielkiego wodza białych.

— Czy da on temu wiarę, kiedy się dowie, że największy jego nieprzyjaciel ma schronienie i posiłek w obozie jego dzieci? Kiedy się dowie, że Dżankes krwią zbroczony pali tytoń przy ich ognisku? że twarz błada, który zabił tyłu jego przyjaciół jest swobodny śród Delawarów?



Idźcie, idźcie! Nasz ojciec Kanadyjski nie głupi.

— Któżto ten Dżankes, co ma być dla Delawarów tak straszny, co zabijał ich wojowników, co jest śmiertelnym nieprzyjacielem wielkiego wodza białych?

— Długi Karabin.

Na to imie znajome dobrze wezdrgnęli się wojownicy Delawarscy, a ich zadziwienie było dowodem że się dopiero teraz dowiedzieli, iż człowieka tak straszego dla pokoleń indyjskich trzymających stronę francuzkę, mają w swojej mocy.

— Co mój brat mówi? — zapytał Serce Kamienne z zadumieniem, sprzeciwiającem się narodowej jego osłupiałości.

— Huron nie kłamie nigdy, — odpowiedział Magua z miną obojętną zakładając ręce na piersiach;—niechaj Delawarowie przejrzą swoich jeńców, a znajdą pomiędzy nimi jednego, co ma skórę ani czerwoną, ani białą.

Długie milczenie nastąpiło potem. Serce Kamienne wziął na stronę swoich towarzyszków i pomówiwszy z nimi, wystął zwoływać na radę wszystkich znakomitszych wodzów pokolenia.

Wojownicy zaraz zaczęli przybywać jeden po drugim. Jak tylko wszedł który, natychmiast donoszono mu co powiedział Magua, a ten z zadziwienia wykrzykiwał gardłowym głosem Hug! Nowina szybko rozbiegła się po całym obozie; kobiety odrywając się od najpilniejszych robot, starały się schwytać kilka słów przelatujących z ust do ust wojowników; dzieci porzuciwszy swoje zabawki biegały za ojcami prawie również jak oni zdziwione zachwalstwem straszliwego ich nieprzyjaciela: jednym słowem wszystkie zatrudnienia zostały na niejakiś czas zawieszzone, a każdy tylko słuchał lub wyrażał swoim sposobem uczucie wspólne całemu pokoleniu.

Kiedy pierwsze poruszenie uśmierzyło

się cokolwiek, starcy zasiedli rozmyślać nad tém, co należało czynić w tak delikatnej materji honoru i bezpieczeństwa narodu dotykającej. Wśród powszechnego zgiełku i kłopotu, Magua stał niedbale oparty o ścianę i tak obojętny, jak gdyby wypadek narady nie go nieobchodził. Jednakże żaden znak, wróżący przyszłe postanowienie, nie uchodził bacznych jego oczu. Znając doskonale charakter Indyan z którymi miał sprawę, częstokroć pierwszej zgadywał ich wolę, nim ją objawiono, a nawet można powiedzieć, pierwszej wiedział co mają pomyśleć nim pomyślili jeszcze.

Narada Delawarów nie ciągnęła się długo i zaraz ruch powszechny zapowiedział, że wnet ma nastąpić zgromadzenie całego narodu. Zgromadzenia te, jak były uroczyste i rzadkie, tak też miewały tylko miejsce w okolicznościach największej wagi. Przebiegły Huron, chociaż samotny i mil-

czący stał na stronie, był jednak aż nadto przenikliwym świadkiem i widział że się zbliżała chwila, kiedy jego zamiary uwieńczone lub zniweczone być miały. Wyszedł więc z chaty i udał się na plac śródku mieszkań, gdzie już wojownicy zbierać się zaczęli.

Upłynęło więcej pół godziny nim się całe pokolenie tu zeszło, gdyż ani kobiety ani dzieci wyłączone od tego nie były. Do zwłoki tej jeszcze przyczyniały się ważne przygotowania, jakich tak nadzwyczajna uroczystość wymagała. Lecz gdy już słońce wybiegło nad wierzchołek wysokiej góry, której wygięty bok jeden służył za podstawę obozu Delawarów, promienie jego przenikając gęstych drzew gałęzie, padły na tłum ludu przeszło z tysiąca dwóchset dusz złożony i tak mocno przedmiotem narady zajęty, jak gdyby każdy miał w tém swój interes osobisty.

Na podobnych zgromadzeniach ludów

dzikich nikt nie myśli występować ze swoim dostojnictwem, lub przedwcześnie wrzucać jaką materją do sporów. Wiek i doświadczenie tylko dają prawo wykładać publiczności przedmiot narady i otwierać swoje zdanie. Prócz tych dwóch zaszczytów, ani siła osobista, ani męstwo dowiedzione, ani dar wymowy, nie usprawiedliwiłyby nikogo, gdyby przestąpił ten starożytny zwyczaj.

W obecnym razie znajdowało się wielu wodzów mających wyżej wspomniane prerogatywy, lecz każdy z nich milczał, jak gdyby zastraszonej wielkością przedmiotu. Milczenie zawsze poprzedzające narady Indian przeciągnęło się dłużej niż zwykle, a najmniejszego znaku niecierpliwości lub zadziwienia nie okazało nawet najmłodsze dziecko. Kiedy niekiedy tylko, tu lub owdzie dwoje oczu podnosząc się od ziemi, gdzie wszystkich wzrok był wlepiony, zwracały się na jedną z pomiędzy chat



niczém nie różną od innych, chyba tylko że lepiej nakryta i przeciw słotom zabezpieczona była.

Nakoniec ten szmer głuchy, co tak często daje się słyszeć w zgromadzeniach tłumnych, rozszedł się nagle i całe pokolenie jakby zmównie powstało razem. Drzwi wspomnianej chaty otworzyły się powoli i trzech szedziwych wodzów wyszedłszy z niej postępowało ku śródkowi placu. Wszyscy trzej nie mieli równych sobie wiekiem w całym narodzie, lecz ten co szedł pośrodku i wspierał się na dwóch towarzyszach swoich, liczył sobie lata jakich rzadko człowiek dosięga. Zgarbiony pod ciężarem więcej niżeli jednego wieku, już nie lekkim i sprężystym Indyaną krokiem, lecz stawiając nogę za nogą posuwał się z trudnością. Czerwona i marszczkami okryta jego skóra, odbijała się dziwnie od białości włosów spadających mu na barki i tak długich, iż ca-

te pokolenia przeminać musiały od czasu, kiedy je ostatni raz obcinał.

Ubior tego patryarchy, gdyż jego lata, mnogość potomków, i władza jaką miał w narodzie, pozwalają dać mu to imię, był bogaty i okazały. Płaszcz jego składał się ze skór najwyborniejszych, lecz zamiast szerści na nich, dawały się widzieć hieroglificzne malowidła, wystawujące bohaterские jego czyny, któremi wstawił się przed półwiekiem. Na piersiach wisiało mnóstwo srebrnych, a nawet złotych medalów, które w ciągu długiego życia podostawał od rozmaitych mocarstw europejskich. Szerokie koła z tychże kruszców opasywały mu ramiona i nogi. Głowę nie goloną od czasu kiedy starość zmusiła go zawód wojenny porzucić, zdobił pewien gatunek korony z trzema piórami strusiem, ulatującemi nad włosem śnieżniejszym od nich. Rękojeść tomahawku ścisnęła wiele obrączek srebrnych, a o-

prawa noża lśniła się najczystszy<sup>m</sup> złotem.

Jak tylko szmer uniesień i radości z widoku tak szanownego męża uciszać się zaczął, dało się słyszeć powtarzane wszędzie imię Tamemund. Magua był już uprzedzony o mądrości i sprawiedliwości staro<sup>go</sup> Delawara, bo wieść powszechna przypisywała mu nawet dar porozumiewania się z Duchem Wielkim, co dało powód że w późniejszym czasie biali pod nazwiskiem odmienion<sup>em</sup> nieco (1) wyobrażali sobie świętego patrona obszernych krain zagarniętych przez się. Wódz huroński usunął się z tłumu i obrał sobie stanowisko, skąd mógł widzieć dogodnie oblicze człowieka, którego głos miał tyle wpływać na powodzenie jego zamiarów.

Oczy starca były zamknięte, jak gdyby sprzykrzył już sobie patrzeć na dzieła na-

---

(1) Święty Tammiang.

miętności ludzkich. Kolor jego skóry, z powodu niezliczonego mnóstwa drobnych, lecz bardzo regularnych prążków i figurerk narysowanych farbami, wydawał się ciemniejszy niż innych Indyan.

Chociaż Magua stał na przejściu, Tamemund pominął go, nie zwróciwszy nań żadnej uwagi. Prowadzony przez dwóch swoich szedziwych towarzyszków wszedł pośród spółobywateli ustępujących mu z drogi i usiadł z miną pełną godności monarchicznej, a razem dobroci ojcowskiej.

Trudno jest wyobrazić sobie, z jakim uczuciem miłości i poszanowania, całe pokolenie ujrzało człowieka przychodzącego niespodzianie jakby z drugiego świata. Po kilku chwilach milczenia, które zwyczaj nakazywał, najpierwsi wodzowie powstałi z miejsc swoich i zbliżając się kolejno brali jego rękę i kładli sobie na czoło, prosząc niby o błogosławieństwo. Wojownicy najznakomitsi dotykali się tyl-

ko brzegu jego szaty. Inni zaś dosyć byli szczęśliwi z tego, że mogli oddychać t<sup>ę</sup>m sam<sup>ę</sup>m powietrzem, co wódz tak waleczny niegdyś, a teraz jeszcze tak sprawiedliwy i mądry. Oddawszy hołd przywiązania i szacunku wodzowie i wojownicy wrócili na swoje miejsca; głęboka cichość znowu nast<sup>ę</sup>ła w ca<sup>ł</sup>em zgromadzeniu.

Jeden z towarzyszów Tamemunda szepnął c<sup>ó</sup>s kilku wojownik<sup>óm</sup> m<sup>ł</sup>odym; ci powstali śpiesznie i weszli do chaty stojącej w śr<sup>ó</sup>dku obozu.

Po niejaki<sup>m</sup> czasie ukazali się znowu prowadząc z sob<sup>ą</sup> tych, co byli powodem do tak uroczystego obrządku. Tłum rozstąpił się troch<sup>ę</sup> i wpuściwszy ich zamknął się znowu, a więźniowie ujrzeli się w obszern<sup>ę</sup>m kole złożon<sup>ę</sup>m przez ca<sup>ł</sup>e pokolenie.



## ROZDZIAŁ IV.

Wszyscy się zgromadzili, Achilles powstaje  
I wnet Królowi Królów, swą myśl słyszeć daje.

*H o m e r.*

---

**N**A czele więźniów była Kora, z wyrazem najtkliwszego przywiązania trzymająca siostrę pod rękę. Mimo straszne i groźne oblicza dzikich, którzy otaczali ich do koła, szlachetna i odważna ta dziewczyna, nie troszczyła się bynajmniej o siebie, lecz ciągle oczy jej były wlepione w bladą twarz przeleknionej i drżącej Aliny.

Tuż przy nich stał Hejward nieruchomy jak posąg i tak mocno zajęty nimi, iż zdawało się, że w tej chwili niespokojności morderczej, serce jego między dwiema siostrami nie czyniło żadnej różnicy. Sokole Oko przez uszanowanie dla swoich

towarzyszów umieścić się nieco ztyłu; bo chociaż los zwałając na nich jednakie nieszczęścia równał ich niejakoś, zawsze on przecież nie mniej ich poważał. Unkasa nie było tutaj.

Kiedy znowu zupełna cichość wróciła i długi przeciąg zwyczajem nakazanego milczenia upłynął, jeden ze starych, powstał i głośno, ledwo zrozumiałą angielszczyzną zapytał:

— Któryto z moich jeńców Długi Karabin?

Duncan i strzelec nie odpowiedzieli na to. Pierwszy z nich przebiegł wzrokiem poważne i milczące zgromadzenie, a ujrawszy Maguę cofnął się o krok jeden. Na twarzy dzikiego malowała się taka złość i zdradliwość, iż nie trudno mu było poznać że z jegoto poduszczeń tajemnych stawiono ich przed sąd narodu. Poruszony najżywszym gniewem, przedsięwziął użyć wszelkich sposobów, żeby zniweczyć nie-

godziwe jego zamiary. Widział przytém niedawno jak rychło Indianie spełniali swój wyrok i lękał się aby jego towarzysz nie doświadczył teraz podobnego losu. W tak dotkliwej obawie nie zatrzymując się nad trwożliwemi uwagami postanowił natychmiast bronić przyjaciela, bez względu na jakie niebezpieczeństwa sam mógłby się narazić. Nim jednak pośpieszył odpowiedzieć, pytanie zostało dobitniej i z naleganiem powtórzone.

— Dajcie nam broń, — dumnie zawołał młodzieniec, — i puśćcie nas do tego lasu, a nasze dzieła odpowiedzą za nas.

— To więc jest wojownik, którego imie napełniło nam uszy, — rzecze wódz przypatrując się Hejwardowi z tą uwagą i ciekawością, jakiej oprzeć się trudno widząc raz pierwszy człowieka sławnego z powodzeń lub nieszczęść, cnót albo występków. — Dla czego człowiek biały przy-

szedł do obozu Delawarów? Co go tu przywodzi?

—Potrzeba. Przyszedłem szukać żywności, schronienia i przyjaciół.

—To byź nie może. Lasy są pełne zwierzyny; głowa wojownika niepotrzebuje innego schronienia prócz pogodnego nieba; a Delawarowie są nieprzyjaciółmi, nie zaś przyjaciółmi Dżankesów. Daj pokój; twoje usta mówiły, ale serce nic nie powiedziało.

Duncan nie wiedząc co miał odpowiedzieć, milczał; ale strzelec który dotąd słuchoał z największą uwagą, śmiało wystąpił teraz naprzód i zabrał głos.

— Nie sąǳcie, — rzecze, — żem z bojaźni lub wstydu nie przyznał się do tego imienia, kiedyście pytali kto z nas Długi Karabin. Wstyd i bojaźń pocziwemu człowiekowi są obce; ale ja nie przyznaję Mingóm prawa nadawać temu jakiegokolwiek bądź przeźwisko, kto daleko za-

szczystniejsze od swoich przyjaciół otrzymał; tem bardziej, że to jakie oni mi chcą narzucić i niestosowne i krzywdzące, bo moja *Danielowka* jest sobie prosta i wyborna strzelba, a nie karabin. Wszelako ja to jestem ten, którego rodzicy ochrzcili Natanielem; Delawarowie mieszkający nad rzeką Delawarą, udarowali pochlebny przydomkiem Sokolego Oka; a Irokanie bez żadnego prawa i powodu przezwali Długim Karabinem.

Wszystkie oczy dotąd poważnie wlepione w Dunkana, szybko przeniosły się teraz na mężką i zawiędłą twarz nowego spółzalotnika do tytułu tak chlubnego. Nie było dla Delawarów rzeczą nadzwyczajną widzieć dwóch wydzierających sobie zaszczyt podobny, bo bezczelność chociaż rzadko, zdarzała się jednak między nimi; ale chodziło im oto, żeby wysledzić prawdę, bo chcieli być równie sprawiedliwi jak surowi. Kilku starców nara-



dziło się pomiędzy sobą i skutkiem tej narady wódz obróciwszy się do gościa zapytał :

— Brat mój mówił że waż wśliznął się do mojego obozu ; któryżto on jest ?

Magua nic nie odpowiedział, tylko wskazał palcem na strzelca.

— Czyliż mądry Delawar usłucha szczekania wilczego ! — zawołał Dunkan, bardziej jeszcze utwierdzony w domyśle o zamiarach Hurona : — pies nie kłamie nigdy ; ale kiedyż słyszano zeby wilk prawdę powiedział.

Błyskawica mignęła w oczach Magui ; lecz natychmiast powściągnął siebie i z miną pogardliwą odwrócił się w inną stronę, przekonany aż nadto, że przezorność Indian nie da się słowami omamić. Jakoż się nie mylił : po nowej bardzo krótkiej naradzie, tenże sam wódz schylił się ku niemu i objawił mu postanowienie star-

ców, chociaż w najostrożniejszych wyrazach.

— Mój brat został nazwany kłamcą,— rzecze; — Obchodzi to jego przyjaciół i pokażą oni, że prawdę mówił. Dać więźniom strzelby; niech czynem dowiodą, kto z nich jest tym wojownikiem, którego poznać chcemy.

Magua znał dobrze że propozycja ta była skutkiem niedowierzania jemu; lecz przyjął ją niby za hołd należny sobie i dał znak zezwolenia, będąc pewnym aż nadto zręczności strzelca i korzystnego dla siebie wypadku próby. Natychmiast dano broń śpierzającym się dwóm przyjaciołóm i kazano im strzelać po nad głowy siedzącej tłuszczy, do glinianego naczynia, które przypadkiem znajdowało się na pniu przeszło o sto pięćdziesiąt kroków odległym.

Walka ta ze strzelcem o imie, wydawała się Hejwardowi śmieszną; postano-

wił jednak wspierać szlachetne swe kłamstwo, póki by nie zbadał zamiaru Hurona. Wziął zatem strzelbę, złożył się trzy razy, za czwartym wymierzył jak najstaranniej i strzelił. Kula weszła w pień o kilka cali od naczynia; powszechny szmer pochwały dał poznać jak wysokie mniemanie o zręczności strzelającego powzięto z tej próby; sam Sokole Oko nawet skinął głową jak gdyby chciał powiedzieć, że major więcej dokazał niżeli się on spodziewał; lecz zamiast coby miał okazać chęć pokonania szczęśliwego spółzawodnika, oparł się na swojej strzelbie i więcej minuty stał w myślach zagłębiany. Młody Indyanin, który pierwiej broń im podał, wyrwał go z tego zadumania uderzając po ramieniu i mówiąc złą angielszczyzną:

— A drugi biały czy dokaże tego?

— No, Huronie! — zawołał strzelec z oczyma wlepionemi w Maguę, podrzuca-

jąc swoje strzelbę i łowiąc jedną ręką, tak łatwo jak gdyby to trzcinka była; — teraz mógłbym cię rozciągnąć trupem u nóg moich: żadna potęga nie zdołałaby mi przeszkodzić. Sokół spadający na gołębia nie jest tak pewny swojego lotu, jak ja byłbym pewny mojego strzału, gdybym chciał kulą przeszyć ci serce! I czemuż nie czynię tego? Bo zabraniają mi prawa, któremi rządzą się ludzie mojego koloru, i mógłbym nowe nieszczęścia ściągnąć na głowy niewinne! Jeżeli więc wiesz co to jest Bóg, dziękuj jemu; dziękuj z całej duszy; masz powód dziękować!

Postać strzelca, jego iskrzące się oczy, jego twarz zapalona, przejęły wszystkich obecnych niejakąś trwogą i uszanowaniem razem. Delawarowie z natężenia uwagi wstrzymali oddech w piersiach; a Magua chociaż niezupełnie ufny w ostatnie słowa nieprzyjaciela, stał pośród tłumu,

tak spokojny, tak nieruchomy, jak gdyby był przykuty do swojego miejsca.

— Czy dokazesz więc tego? — powtórzył młody Delawar stojący przy strzelcu.

— Czy tego dokażę? Ja czy tego dokażę? głupi! — zawołał strzelec, wstrząsając znowu nad głową swoje strzelbę z miną groźną, iubo już nie poglądał na Magucę.

— Jeżeli człowiek biały jest tym wojownikiem, którym się bydz mieni, — rzece wódz, — niech trafi bliżej celu.

Sokole Oko na pokazanie wzgardy rozśmiał się tak przeraźliwym i niezwyčajnym głosem, że aż Hejward zadrżał; a potém tylko ciężko opuścił strzelbę na wyciągnioną lewą rękę i w tejże chwili strzał wyleciał jakby od mocnego wstrząśnienia broni. Naczynie rozprysło w tysiąc kawałków i czerepy z brzękiem na pień opadły. Wtymże prawie momencie dał się słyszeć dźwięk inny, i postrzeżono że strze-



lec wzgardliwie rzucił strzelbę precz od siebie.

Pierwszym skutkiem tak dziwnego widowiska było samo tylko zadumienie. Wkrótce zaczął szerzyć się pomiędzy tłumem szmer inny i stając się co raz wyraźniejszy dał poznać, że bardzo różniły się zdania widzów. Kiedy niekiedy głośno dziwili się zręczności tak niesłychanej, większa część pokolenia traf ten uważała za przypadkowy. Hejward chwycił się tej opinii wspierającej jego stronę.

— To przypadek, — zawołał; — nikt nie może trafić nie mierząc.

— Przypadek! — powtórzył strzelec zapalając się co raz bardziej i mimo mrugania Hejwarda usiłując przekonać, że kim się mianował tym był w istocie, bez względu na to cokolwiekby to jego kosztować miało. — A ten Huron czy także nazywa to przypadkiem? Jeżeli tak; dajcie mu drugą strzelbę, niech stanie ze mną; zo-

baczemy kto ma trafniejsze oko. Pana nie wyzywam na to, majorze; bo nasza krew jest jednego koloru, i jednemu monarsze służy.

— Widocznie Huron jest kłamca, — rzecze Hejward z krwią zimną; — słyszałeś sam że ciebie nazwał Długim Karabinem.

Niewiadomo do jakiego stopnia gwałtowności posunąłby się Sokole Oko, w upartej chęci udowodnienia swojego nazwiska; gdyby stary wódz nie wdał się znowu.

— Sokoł który zlatuje z obłoków, może do nich kiedy chce powrócić, — rzecze Delawar; — dajcie im strzelby.

Strzelec chwycił broń z zapalnym, a chociaż Magua pilnie śledził każde jego poruszenie, nie dostrzegł najmniejszego powodu do obawy.

— Dobrze więc! Niech całe to pokolenie Delawarów zobaczy kto z nas lepiej strzela, — zawołał Sokole Oko, uderzając

po zamku swojej strzelby temi palcami, co tyle kul zabójczych wyprawiły do celu. Widzisz majorze tę konewkę zawieszoną tam na drzewie; ponieważ z pana taki strzelec, spróbuj w nią trafić.

Duncan spojrzął na cel wskazany i zaczął gotować się do dania nowej próby. Konewka czyli niewielkie naczynie drewniane, pospolicie używane u Indyan, było zawieszona za ucho z danielowego rzemienia na suchym sęku nie zbyt wysokiej sosny, najmniej o trzysta kroków od stanowiska więźniów.

Takie jest dziwactwo miłości własnej, że młody major, chociaż nie dbał w tej mierze o zdanie dzikich swoich sędziów, cały jednak zajęty chęcią otrzymania zwycięstwa, zapomniał o pierwszej pobudce do walki. Gdyby życie jego zależało od tego strzału, pewnoby nie mierzył staranniej. Dał nakoniec ognia; kilku młodych Indyan podskoczyło do celu i donośnym gło-

sem oznajmiło, że kula osiadła w drzewie, bardzo blisko konewki. Wojownicy wydali okrzyk jednozgodny i zwrócili oczy na drugiego spółzawodnika.

— Jak na wojsko amerykańsko — królewskie, to dosyć jest dobrze, — rzecze Sokole Oko śmiejąc się swoim sposobem; — jednak gdyby moja strzelba zawsze tak boczyła, ileżby to gronostajów, których skórki są tam gdzieś w zarękwkach nie jednej pani, biegałoby jeszcze po lesie; ilu Mingów krwawych, którzy poszli już zdać rachunek swego żywota, roznosiłoby dzisiaj spustoszenie po kraju! Spodziewam się że właściciel tej konewki ma drugą w swoim wigwamie, bo ta nigdy już wody nie zatrzyma.

To mówiąc strzelec cały był zajęty nabijaniem broni, a kiedy skończył, cofnął się w tył o krok jeden i z wolna podniósł kolbę do twarzy. Kiedy już dobrze wziął

na cel zatrzymał się jeszcze trochę w tej postawie bez ruchu; tak iż człowiek i strzelba zdawały się z kamienia. Nakoniec błysnął ogień i rozległ się huk strzału. Młodzi Indianie znowu przyskoczyli do drzewa, oglądali je ze wszech stron, lecz napróżno: powrócili z doniesieniem że nigdzie znaku kuli niewidać.

— Idź precz, — rzecze stary wódz do strzelca tonem pogardy; — jesteś wilk w psiej skórze. Ja chce mówić z Długim Karabinem Dżankesów.

— Ach! gdybym miał tutaj tę broń, co była powodem do imienia, którego pan używasz teraz, podjąłbym się przeciąć rzemieńne ucho konewki, nie tylko dno jej przeszyć, — zawołał Sokole Oko nie zrażając się surowym tonem starca. — Głupcy! jeżeli chcecie znaleźć kulę przez dobrego strzelca wsadzoną; szukajcie jej w samym celu, a nie koło niego.

Ponieważ ostatnie te słowa powiedział



po delawarsku; chłopcy zrozumieli go natychmiast, pobiegli do drzewa, zerwali z gałęzi naczynie i podniosłszy je w górę z okrzykiem radości, pokazali że kula dno przeszła.

Na ten widok wszyscy wojownicy wydali jeden głos zadumienia. Spór został rezygniony i Sokole Oko odzyskał swój chlubny, ale niebezpieczny przydomek. Wszystkie oczy, co po raz drugi z ciekawością i uwielbieniem były zwrócone na Hejwarda, przeniosły się teraz znowu na strzelca, jako jedyny przedmiot uwagi prostych i naturalnych istot, które go otaczały. Skoro się uciszyło, stary wódz rozpoczął swoje śledztwo.

— Dla czego, — rzecze do Dunkana, — chciałeś zatknąć mi uszy? Czy uważasz Delawarów za tak głupich, że niepotrafią rozróżnić młodej pantery od kota dzikiego?

— Delawarowie poznają zaraz, że Hu-

ron jest tylko ptakiem szczebiotliwym,—odpowiedział Hejward, starając się naśladować przenośny sposób mówienia dzikich.

— Dobrze; zobaczemy kto chce zatknąć nam uszy. Mój bracie, — dodał obracając się do Magui, — Delawarowie słuchają.

Wezwany w sposób tak nieohojny, Huron powstał z miejsca, poważnym i mierzonym krokiem wystąpił na szrodek koła, stanął przed więźniami i zabrał się mówić. Nim jednak otworzył usta powiódł pierwszej powolne spojrzenie po otaczających go twarzach, jak gdyby chciał wystowienie swoje zastosować do pojęcia słuchaczy. Wzrok jego pomiął strzelca dając poznać zaciętą lecz połączoną z szacunkiem nieprzyjaźń; przebiegł Dunkana łyskawicą nieubłaganej nienawiści; na drżącej Alinie ledwo zatrzymać się raczył: ale kiedy spotkał Korę, której dumna i śmiała postawa, więcej jeszcze dodawała

wdzięków, utkwił się w niej na chwilę z tym wyrazem, jakiego określić niepodobna nigdy. Wspierając potem złośliwy swój zamiar, odezwał się w języku kanadyjskim, jako dla największej liczby Delawarów zrozumiałym.

— Duch, co stworzył ludzi, — tak zaczął Lis Chytry, — dał im, jak powiadają, rozmaitą farbę ciała. Jedni są czarniejsi od niedźwiedzi lesnych: tych wskazał na niewolę i nakształt bobrów przeznaczył wiecznej pracy. Kiedy wiatr południowy wieje, możesz słyszeć ich jęki po nad ryczenie bawołów przylatujące od brzegu wód słonych, gdzie wielkie łodzie przychodzą i odchodzą napełnione nimi. Druzy mają skórę bielszą niżeli gronostaje: tym kazał być kupcami; psami dla kobiet, wilkami dla niewolników. Chciał żeby jak gołębie mieli skrzydła nie mordujące się nigdy; płód liczniejszy od liścia na drzewie, żarłoczność gotową ziemię połknąć. Dał im zdra-

dliwy język dzikiego kota; serce królika; chytrość wieprza, ale nie lisa. Język białego zatyka uszy Indian; serce jego radzi mu płacić żołnierzom, żeby się zabijali; chytrość uczy go sposobów zagarnienia dla siebie wszystkich bogactw świata; objął ramionami ziemię od brzegu wód słonych aż do wysep wielkiego jeziora; łakomstwo czyni go nienasyconym; Bóg dał mu dosyć, on chce więcej. Tacy są biali. Inni nakoniec, otrzymali z rąk Wielkiego Ducha, skórę jaśniejszą i czerwienią niżeli słońce, które nas oświeca—dodał Magua, dobitnym skinieniem ukazując tę gwiazdę dnia wznoszącą się nad mgły porankowe: — cito byli jego ulubionymi dziećmi; darował on im tę wyspę taką, jaką był stworzył: pokrytą lasem, pełną zwierzyny. Wicher robił trzebieże, słońce i deszcze pielęgnowały owoce dla nich; nie potrzeba im było dróg do podróży; zasiewali na skałach; a kiedy bobr praco-

wał, przypatrywali się jemu leżąc w cie-  
niu. Wiatry chłodziły ich latem; futra  
ogrzewały w zimie. Jeżeli kiedy walczyli  
między sobą, to dla pokazania męztwa.  
Byli waleczni, byli sprawiedliwi, byli szczę-  
śliwi!

Tu mówca zamilkł i znowu spojrzał  
w koło siebie dla zobaczenia czy jego mo-  
wa sprawiła na słuchaczach zamierzony  
skutek. Wszystkich oczy z upragnieniem  
były wlepione w niego, głowy podniesione  
w górę, nozdrza rozdęte, jak gdyby ka-  
żdy pałał chęcią przywrócenia praw całe-  
mu rodowi swemu.

— Jeżeli Duch wielki dał rozmaite ję-  
zyki swoim dzieciom czerwonym, — ode-  
zwał się po chwili, cichym, powolnym, ża-  
łobnym głosem; — to dla tego, aby wszyst-  
kie zwierzęta mogły ich rozumieć. Je-  
dnych osadził z niedźwiedziami śród śnie-  
gów; drugich blisko zachodu słońca na  
drodze do lasów szczęśliwych, gdzie wszy-



scy będziemy polowali po śmierci; innych na ziemi otaczającej wielkie wody słodkie; lecz najukochańszym wydzielił piaski wód słonych; bracia moi czy wiedzą jak się nazywał lud ten błogostawiony?

— Lenapy! — zawołało razem kilkanaście głosów.

— Lenni Lenapy, — dodał Magua, skłaniając głowę niby przez uszanowanie dla starożytnej ich wielkości. — Słońce powstając z wody słonej i niknąc w łonie wód słodkich, nigdy nie kryło się przed ich oczyma. Ale czyliż to do mnie, Huro-na lesnego, należy przypominać mądrym ludowi własne jego podania? Jażto mam mówić skąd jego nieszczęścia, jego wielkość starożytna, jego dzieła, sława, powodzenie, klęski, upadek? Niemaszże między nim nikogo coby widział to wszystko i rzekł teraz: prawda! Powiedziałem; język moj już jest niemy, ale uszy otwarte.

Magua przestał mówić, a wszystkie oczy, jakby zmownie, zwróciły się razem na Tamemunda. Szanowny patriarchy od chwili przybycia aż do tąd, nie otworzył ust ani razu; ledwo nawet można było postrzedz w nim jakikolwiek znak życia. Schylony prawie aż do ziemi siedział tak obojętny na wszystko, co się koło niego działo; iż zdawało się że bynajmniej nie zważał, jakim sposobem strzelec udowodnił prawo do swojego imienia. Kiedy jednak Magua przemówił i giętki swój głos stopniami rozwinął, zaczął on niby przychodzić do siebie i parę razy podniósł głowę, jak gdyby chciał słuchać. Ale skoro Lis Chytry wymówił nazwisko jego narodu, starzec otworzył ciężkie powieki i wlepił w tłum ten wzrok mglisty i obłąkany, jaki zdaje się być właściwy upiorkowi wychodzącemu z grobu. Wzruszył się potem usiłując powstać, i za pomocą przybocznych towarzyszków swoich, stanął

nareszcie w postawie zdolnej nakazać uszanowanie, chociaż kolana jego uginały się pod brzemieniem wieku.

— Kto tu mówi o dzieciach Lenapów? — zapytał głuchym gardłowym głosem, który jednak śród świątobliwego milczenia, jakie cały naród zachowywał, wyraźnie dawał się słyszeć; — kto mówi o tém, czego już nie masz? Czyliż liszka w robaka, a robak nie przemienia się w owad? Po co mówić Delawarom o tém co utracili? Dziękujmy raczej wielkiemu Manitu za to co nam zostawił.

— Mówił to Wyandot, — rzecze Magua przystępując bliżej do podniesienia na którym miał miejsce starzec; — mówił to przyjaciel Tamemunda.

— Przyjaciel! — powtórzył mędrzec z zachmurzeniem czoła, będącém już tylko cieniem tej surowości, co tak straszném czyniła jego oblicze kiedy był w sile męźskie-

go wieku. — Czyto Mingowie całą opancwali ziemię? Huron tutaj! Czego on żąda?

— Sprawiedliwości! Niewolnicy jego są w ręku jego braci; przyszedł on po nich.

Tamemund schylił głowę ku jednemu z wodzów utrzymujących jego, a gdy ten dał mu krótkie objaśnienie, zwrócił oczy na Maguę, chwil kilka przypatrywał mu się z uwagą; nakoniec rzekł cichym głosem i z widocznym wstrętem:

— Sprawiedliwość jest przykazaniem wielkiego Manitu. Dzieci, dajcie jeść gościowi. Potém Huronie, zabieraj twoją własność i zostaw nas w pokoju.

Dawszy taki wyrok, patryarcha usiadł i znowu zamknął oczy, jak gdyby wolał wewnętrzne obrazy dojrzałej swojej myśli, nizeli przedmioty widzialnego świata. Skoro raz jego postanowienie zaszło, nikt z Delawarów nie śmiał słowa przeciwtemu powiedzieć, a nie tylko stawić jaki-

kolwiek opór. Zaledwo ostatnie wyrazy z ust mędrca wyszły, czterech lub pięciu młodych wojowników rzuciwszy się na Hejwarda i strzelca związało im ręce tak prędko i zręcznie, że ci nim się obejrzeliby już byli skrępowani. Dunkan cały zajęty Aliną, prawie bez czucia opartą na jego ramieniu, nie miał czasu przewidzieć tej napaści; Sokole Oko zaś, nawet nieprzyjazne pokolenia Delawarów uważając za coś wyższego między ludźmi, nie myślał bronić się bynajmniej. Możeby jednak mniej był uległy, gdyby zrozumiał ostatnią rozmowę; ale na nieszczęście ta odbyła się w języku obcym dla niego.

Magua rzucił pierwszej na całe zgromadzenie wzrok tryumfujący, a potem widząc że mężczyźni nie mogli stawić żadnego oporu, przystąpił do tej, o którą najwięcej mu chodziło. Kora spotkała go tak mężnem i spokojnem wejrzeniem, iż zachwiał się na chwilę; lecz wnet przy-



pomniawszy dawny swój wybieg, wziął Alinę na ręce i rozkazując Hejwardowi iść za sobą, skinął na tłum żeby mu ustąpił z drogi. Ale omyliła go nadzieja; Kora zamiast coby miała śpieszyć za siostrą, rzuciła się do nóg patryarchy i wznieścionym głosem zawołała :

— Szanowny i sprawiedliwy Delawarze, twojej wzywamy mądrości i władzy, pod twoją uciekamy się opiekę! Bądź głuchy na zdradliwe wybiegi tego potworu, co niedostępny zgryzotom sumienia, kłamstwem kła twoje uszy, żeby mógł dręczące go pragnienie krwi zaspokoić. Ty, co żyłeś długo i znasz biedy tego życia, powinieneś umieć litować się nad nieszczęśliwymi.

Starzec z trudnością otworzył powieki i znowu wzrok swój zagasty podniósł na tłum ludu. Ale w miarę tego jak coraz tkliwszy głos błagającej uderzał jego uszy, oczy jego zaczęły powoli zwracać się ku

niej i nakoniec wlepiły się w nią bez powrotu. Kora klęcząca przed nim z załamaniem rękoma u piersi, z twarzą wybladłą, z czołem posępnem, lecz pełnem znaczenia, śród samej rozpaczki nawet była najdoskonalszym wizerunkiem piękności. Zgrzybiałe oblicze starca ożywiło się nieznacznie; w zamartwych rysach jego zamiast zwykłej obojętności ukazał się wyraz uwielbienia; zabłysła w nich jeszcze jedna iskierka tego ognia, co przed stem laty tak silnie elektryzował całe szeregi Delawarów. Bez pomocy, bez silenia się prawie, stanął na nogach i głosem tak mocnym, że aż zadrżeli wszyscy, zapytał:

— Kto ty jesteś ?

— Kobieta; kobieta, możesz dodać jeśli ci się podoba, z nienawistnego plemienia; Angielka; ale która ni tobie, ni twojemu ludowi nie uczyniła, i nawet żeby

chciała, nigdy nie może uczynić nic złego; a teraz błaga twojej opieki.

— Powiedzcie mi, dzieci, — rzecze patriarcha przerywanym głosem i odwołując się skinieniem do otaczających, chociaż oczy jego ciągle były wlepione w Korę — powiedzcie mi, gdzie Delawarowie obozują teraz ?

— Na górach Irokańskich, z drugiej strony czystych źródeł Horykanu.

— Jleżto lat skwarnych upłynęło od czasu, kiedym pił wodę z mojej rzeki! — zawołał mędrzec. — Potomkowie Mikona są najsprawiedliwsi z pomiędzy ludzi białych; lecz cierpieli pragnienie i zabrali ją dla siebie. Scigająż oni nas aż tutaj ?

— My nie ścigamy nikogo, nie pragniemy niczego — z żywością odpowiedziała Kora. — Gwałtem porwani i przyprowadzeni tutaj, żądamy tylko pozwolenia, wrócić spokojnie do naszego kraju. Czyliżto

nie ty jesteś Tamemund, ojciec, sędzia, mogę powiedzieć prorok swojego ludu?

— Ja jestem Tamemund, który wiele dni widział.

— Około siedmiu lat temu, jak jeden z twoich na granicach tej prowincyi, dostał się w ręce pewnego wodza białych. Kiedy powiedział on że płynie w nim krew dobrego i sprawiedliwego Tamemunda; idź, rzekł mu wódz biały, przez wgląd na to pokrewieństwo jesteś wolny. Czy przypominasz sobie, jak się nazywał ten wojownik angielski?

— Przypominam, że kiedy byłem bardzo młody, — odpowiedział patryarcha, któremu łatwiej przychodziły na pamięć pierwsze chwile życia, niżeli późniejsze; — ba-  
wiłem się wtenczas piaskiem na brzegu morza i postrzegłem łódź wielką, mającą skrzydła bielsze od łabędzich, większe od tysiąca orlich złożonych razem. Płynęła ona od wschodu słońca.....

— Nie, nie, ja nie mówię o czasach tak dawnych; ale o tém, że jeden z moich uczynił łaskę twojemu krewnemu; co jeszcze najmłodszy wojownik pamiętać może.

— Czy to było wtenczas, kiedy Dzan-kesy bili się z Holendrami o puszcze Delawarów? O, w ten czas Tamemund był wodzem potężnym i pierwszy raz porzucił łuk, a uzbroił się w piorun białych. . . .

— Nie, — zawołała Kora przerywając mu znowu; — to także rzeczy zbyt dawne; ja mówię o tém co było wczoraj. Pamiętasz to zapewne.

— Wczoraj! — powtórzył starzec grobowym, żałosnym głosem, — wczoraj potomkowie Lenapów byli panami świata! Ryby jezior słonych, ptaki powietrzne, zwierzęta i Mingowie leśni, uznawali ich za sagamorów.

Kora przejęta boleścią spuściła głowę; lecz wnet znowu odzyskała odwagę i do-



bywając sił ostatnich, zawołała prawie również tkliwym głosem :

— Powiedz mi, czy Tamemund jest ojcem ?

Starzec z wolna podniósł oczy na całe zgromadzenie; uśmiech życzliwości rozjaśnił twarz jego; potem spuszczając wzrok na Korę, odpowiedział :

— Jest ojcem całego narodu.

— O nic ja nie proszę dla siebie, szanowny starcze, — rzekła nieszczęśliwa z konwulsyjnym wzruszeniem przyciskając jego ręce do serca i z głową tak spuszczoną, że czarne pukle włosów spadające nieładem po ramionach, prawie całkiem zakryły zapłonione jej policzki — Przeklęctwo zlane na mych przodków, z całą mocą przywaliło ich dziecko! Ale oto ta biedna,—dodała ukazując siostrę—nieznała jeszcze dotąd gniewu nieba. Ma ona krewnych, ma przyjaciół; których stanowi szczęście, którzy ją kochają nad wszyst-

ko; jest ona tak dobra, życie jej tak drogie, iż niepodobna, abyś dozwolił jej stać się ofiarą tego okrótnika.

—Ja wiem że biali są pokoleniem ludzi dumnych i chciwych. Wiem że nie tylko pragnęliby posieść ziemię; ale najlichszy z ich rodu ceni siebie więcej, niżeli Saczemy ludzi czerwonych. Psy ich nawet — mówił dalej starzec nie zważając, że każde jego słowo było zabójczym ostrzem dla serca Kory; — psy ich nawet szcekałyby z największą zajadłością, gdyby który do swego wigwamu chciał wprowadzić kobietę, krwi nie śnieżnego koloru; ale niechajże się przynajmniej nie chwala tak głośno w obliczu Manitu. Przyszli do tych krajów o wschodzie słońca i o zachodzie mogą wyjść z nich jeszcze! Widziałem nie raz drzewa objedzone przez szarańczę; lecz zawsze pora zieloności przyszła, i liście rozwijały się znowu.

— Prawda, — rzecze Kora wzdychając

głęboko, jak gdyby wychodziła z ciężkiego omdlenia, i odrzuciwszy w tył włosy pozwoliła widzieć ogień swych oczu, dziwnie sprzeczny z bladością twarzy: — prawda; ale dla czego to tak? to przed nami zakryto! Jest jeszcze jeden więzień, więzień własnego twojego rodu. Nie stawiono go przed tobą. Wysłuchaj jego pierwej, nim Huronowi pozwolisz odejść z tryumfem.

Jeden z przybocznych towarzyszków Tamemunda widząc że starzec jakby w ośląkaniu poglądał do koła; rzekł do niego:

— Jest to wąż! czerwony żółdak Dżańkiesow. Zachowujemy go na męczarnie.

— Przeprowadzić go tutaj, — odpowiedział patriarchy, opuszczając się na swoje siedzenie. Młodzi wojownicy poszli natychmiast wypełnić rozkaz, a tymczasem tak głęboka panowała cichość, że można było słyszeć szmer liści za każdym tchnieniem porankowego wietrzyka drgających w przyległym lesie.

## R O Z D Z I A Ł V.

---

„Jeżeli mi odmówisz, do praw odwołam się waszych. Niktżę w Wenecyi nie dba o nie teraz? Chcę być sądzonym; mów, czy zgadzasz się na to?”

*Szekspir.*

**P**rzez kilka chwil żaden głos ludzki nie przerwał cichości oczekiwania. Nakoniec tłumy ludu wzruszyły się nakształt fali i przepuszczając Unkasa, zamykały się za nim jak bałwany rozhukanego morza. Wszystkie oczy, co dotąd z twarzy mędrca usiłowały wyczytać jego zdanie, zwróciły się teraz w przeciwną stronę i z niemem zadumieniem ulgnęły na giętkiej, wysmukłej i pełnej wdzięku postaci więźnia.

Lecz ani groźny gwar tłuszczy, ani powszechna uwaga wyłącznie nań zwrócona, nie zdołały zatrwożyć młodego Mohikana. Rzucił w koło siebie przeciągłe, badające spojrzenie, i równie zimno przyjął niechęć wyrytą na czołach wodzów, jak ciekawość w twarzach młodzieży. Ale kiedy przenikliwy wzrok jego obiegłszy zgromadzenie, spotkał Tamemunda, zdawało się że cała dusza skupiła się mu w oczach, i od-tąd tym tylko zajęty widokiem, zapomniał o wszystkim co się koło niego działo. Powoli, bez szelestu zbliżywszy się do podniesienia, na którem siedział mędrzec, stanął przed nim i niepostrzeżony od niego, przypatrywał mu się do poty, aż póki jeden ze starych wodzów nie ostrzegł Tamemunda, że winowajca już przybył.

— Jakim językiem więzień będzie mówił w obliczu wielkiego Manitu? — zapytał patryarcha nie otwierając oczu.



— Językiem przodków swoich, — odpowiedział Unkas, — językiem Delawarów.

Na tę uderzającą i niespodzianą odpowiedź, rozszedł się śród tłumu huk podobny do warczenia lwa, które nie oznacza jeszcze jego gniewu, lecz zapowiada jak ten będzie straszny, kiedy wybuchnie. Wzruszenie starca, skoro powziął tę wiadomość, było równie gwałtowne, lecz wyraziło się inaczej. Podniósł on rękę i zakrył sobie oczy, jak gdyby unikał widoku tak hańbiącego ród jego, a potem właściwym sobie gardłowym stłumionym głosem, powtórzył ostatnie słowo więźnia:

Delawarów! . . . . Czyliż dożyłem widzieć pokolenie Lenapów, daleko od ogniska ich rady, rozpierzchnione po górach Irokańskich, jak stado danieli! Widziałem jak topór cudzoziemski walił drzewa, zaszczyt doliny, przez same wichry oszczędzane nawet; widziałem zwierzęta, co skaczą ze skał na skały i ptaki, co nikną z o-

czu w obłokach, zamknięte w wigwamie człowieka; ale nie widziałem nigdy Delawara tak podłego, żeby do obozu rodaków wślizgał się płazem jak wąż jadowity.

— Ptak zaśpiewał, a Tamemund poznał go po głosie; — odpowiedział Unkas swoim słodkim harmonijnym tonem.

Mędrzec zadrżał i wyciągnął szyję, jak gdyby chciał schwytać przelotny dźwięk melodyi oddalonej.

— Czy to marzenie we śnie ludzi Tamemunda? — zawołał potem. — Jakiż głos obit się o jego uszy! Nie już to zima opuściła nas bez powrotu i dni pogodne zaświtały znowu dla dzieci Lenapów?

Uroczysta, świątobliwa cichość nastąpiła po tych gwałtownych wykrzyknieniach proroka Delawarów. Ciemna jego mowa wprowadziła w błąd wszystkich obecnych. Sądząc że duch, z którym jak mniemano miewał porozumienia, natchnął

go teraz, z trwogą wewnętrzną oczekiwano objaśnienia tajemnicy. Po kilku minutach przecieź, jeden ze starych wodzów widząc, że mędrzec stracił zupełnie z myśli przedmiot, który go zajmować był powinien; ośmielił się przypomnieć mu powtórnie obecność więźnia.

— Fałszywy Delawar ze drżeniem oczekuje słów Tamemunda, — rzecze — Jestto ogar, który goni kiedy mu Anglicy trop pokażą.

— A wy, — odpowiedział Unkas, tocząc w około spójrzenie groźne, — jesteście psy, które czołgają się po ziemi, kiedy im Francuzi rzucają obrzynki danielów swoich.

Na tę jadowitą, a może i słuszną odpowiedź, kilkunastu wojowników porwało się razem i tyleż nożów zabłyśło w powietrzu. Jeden rozkaz wodza potrafił wprowadzić powściągnąć ten zapal i przywrócić spokojność pozorną przynajmniej; lecz zapewne nie udałoby się to tak łatwo, gdy-

by w tej chwili Tamemund nie zrobił skienia, zapowiadającego że ma mówić.

— Delawarze, — rzekł mędrzec, — Delawarze niegodny tego imienia, od wielu lat lud moj nie widział pogodnego słońca; a wojownik który opuszcza swój naród wtenczas, kiedy ten zaćmiony chmurą nieszczęścia, dwakroć jest zdrajcą. Przykazanie Manitu jest sprawiedliwe i będzie niezmienne, póki rzeki płynąć, góry stać na miejscu, a liście drzew rozwijać się, więdnąć i opadać będą. Przykazanie to daje wam, moje dzieci, władzę zupełną nad niegodnym bratem waszym. Odsyłam więc go do sprawiedliwości waszej.

Póki Tamemund mówił, żaden szmer, żaden głos nie dał się słyszeć. Zdawało się, że każdy wstrzymywał oddech w piersiach, żeby nie stracić najmniejszego słówka z ust proroka Delawarów. Lecz kiedy skończył, okrzyk zemsty, hasło okrótnych i krwawych życzeń, rozległ się ze wszech stron

razem. Wśród tych dzikich, przeciągłych wołań, jeden wódz podniósł głos i obwieścił, że więzień skazany został na okropną karę ognia.

Porządne koło zgromadzenia zmieniło się natychmiast w zgiełk bezładny, a obok wykrzykników barbarzyńskiej radości, dał się słyszeć rozruch przygotowań katowskich. Hejward prawie wściekły z rozpacz, opierał się tym co go wstrzymywali; niepokojne spojrzenia Sokolego Oka zaczęły zwracać się na wszystkie strony z wyrazem troskliwości i obawy; Kora znowu rzuciła się do nóg patryarchy błagać o litość.

Wśród powszechnego zamieszania sam tylko Unkas stał wypogodzony. Na czynione dla siebie przygotowania do męczarni, poglądał obojętnie; zbliżających się oprawców czekał w dumnej i nieustraszonej postawie. Jeden z nich dzikszyszy i okrótniejszy, jeżeli bydz może, od swoich



towarzyszów, z przeraźliwym rykiem przyskoczywszy do młodego więźnia, jednym zamachem zdarł mu lekką koszulę myśliwską i chciał go ciągnąć do słupa.

Lecz w chwili kiedy zdawał się najnieдоступniejszy uczuciom ludzkim, wstrzymał się w barbarzyńskim zapędzie tak nagle, jak gdyby jakaś władza nadprzyrodzona stanęła między nim a Unkasem. W tém oczy Tamemunda wystąpiły mu na łeb; usta otworzone zostały bez głosu; rzekłby kto że mróz zlodowacił go w postawie najmocniejszego zadziwienia. Po niejakiem czasie jednak, zwolna i z trudnością podnosząc prawą rękę, ukazał palcem pierś więźnia. Tłum natychmiast ścisnął się zewsząd i wszystkie oczy oślepiały z zadumienia, widząc pod szyją młodego wojownika drobny wizerunek żółwia, odrysowany najczystszy błękitem.

Unkas przez chwilę nasyczał się tryumfem i poglądał w koło z majestatycznym

uśmiechem; lecz wkrótce dumnym i rozkazującym skinieniem usuwając tłum na stronę, wystąpił przed naród i z powagą króla wracającego na tron utracony odezwał się dźwięcznym, donośnym głosem, który dawał się słyszeć nad powszechny szmer uwielbienia.

— Mężowie szczepu Lenni Lenapów! Ród moj dźwiga ziemię (\*)! Słabe pokolenie wasze na mej skorupie spoczywa. Jakieżby ogień Delawar mógł rozniecić, co by był zdolny spalić dziecko mych ojców? — dodał z chlubą ukazując herb wymalowany na jego piersiach; — krew płynąca z takiego źródła zgasiłaby wasze płomienie. Ród moj jest matką narodów!

— Kto jesteś? — zapytał Tamemund powstając, wzruszony bardziej dźwiękiem głosu, niżeli słowami młodego jeńca.

---

(\*) Podług mniemania niektórych narodów dzikich, ziemia jest oparta na ogromnym żółwiu.

— Unkas, syn Szyngaszguka, — skromnie odpowiedział młodzieniec, schylając się przed starcem przez uszanowanie dla jego dostojństwa i wieku; — wnuk wielkiego Unamisa.

— Kres drogi Tamemunda już jest niedaleki! — zawołał mędrzec; — dzień jego życia zbliża się do nocy! Dzięki wielkiemu Manitu! zesłał on tego, co zajmie moje miejsce przy ognisku rady. Unkas, syn Unkasa znalazł się nakoniec. Niechże oczy kornającego orła, wlepią się jeszcze w słońce wschodzące.

Młodzieniec lekkim lecz wspaniałym krokiem wstąpił na brzeg podniesienia, gdzie cały tłum niespokojny i ciekawy mógł go widzieć, a Tamemund z zachwyceciem długi czas oglądał jego twarz ożywioną i postać pełną godności. W osłabionych oczach starca można było wyczytać, że widok ten przypominał mu jego młodość i dni szczęśliwsze.

—Tamemund jestże jeszcze dzieckiem?—  
zawołał prorok w uniesieniu — Czyli to  
śniło mi się, że tyle śniegow przeszło po  
nad mą głową; że lud mój był rozproszo-  
ny nakształt piasku pustyni; że Dżankesy  
liczniejsi od liści na drzewach osiedli kraj  
ten zniszczony? Strzały Tamemunda nie  
złęknie się już ani jelonek; ręka jego jest  
słaba jak gałąź uschłego dębu; ślimak wy-  
przedziłby go w biegu: a jednak Unkas  
stoi przed nim taki sam, jaki był, kiedy  
razem szli walczyć białych! Unkas! pan-  
tera swojego pokolenia; najstarszy syn Le-  
napów, najmędrszy Sagamor Mohikanów!  
Delawarowie co mię otaczacie, powiedz-  
cie mi, czyliż od stu zim Tamemund po-  
grążony we śnie?

Głębokie milczenie, skutek uszanowa-  
nia połączonego z niejakąś bojaźnią, na-  
stąpiło po tych słowach. Chociaż wszy-  
scy słuchali lękając się odetchnąć nawet,  
nikt nieodpowiedział jednak. Lecz Unkas

poglądając na patriarchę z czcią i czułością przywiązanego syna, odezwał się tklwym głosem, jak gdyby chciał osłodzić smutne przypomnienie, do którego dał starcowi powód.

— Od czasu kiedy przyjaciel Tamemunda lud swój do boju prowadził;— rzecz,— czterech zeszło wojowników jego rodu. Krew żółwia teczyła się przez żyły wielu wodzów; lecz wszyscy wrócili do ziemi z której byli wydobyli, tylko Szyngaszguk i jego syn żyją jeszcze.

— To prawda, to prawda, — odpowiedział starzec przywalony ciężarem wspomnień, które niszcząc łudzące jego marzenia, przywiodły mu na myśl rzeczywistą historją jego narodu; — mędracy nasi powiadali często, że w górach Dżankesów znajdują się jeszcze dwaj wojownicy krwi nie zmieszanej. Dla czegoż więc ich miejsca przy ognisku rady Delawarów próżnowały tak długo?



Na te słowa Unkas podniósł głowę, przez uszanowanie spuszczoną dotąd, i mając zamiar wyłożyć w krótkości dla całego ludu dzieje swojej rodziny, dobył głosu, aby mógł być słyszany od wszystkich.

— Był czas, — rzecze, — kiedyśmy u-  
sypiali w miejscu, gdzie mogliśmy słyszeć  
gniewny ryk wód słonych. Cały kraj na-  
tenczas uznawał nas za Sagamorów i pa-  
nów. Lecz kiedy nad każdym strumy-  
kiem postrzeżono białych, poszliśmy za da-  
nielami uciekającymi lotnie ku narodowej  
rzece naszej, i nie wielu wojowników De-  
lawarskich zostało przy ukochaném źró-  
dle gasić swe pragnienie. Ojcowie moi  
powiedzieli wtedy: — Będziemy polowali  
tutaj. Woda rzeki wpada do jeziora sło-  
nego. Gdybyśmy poszli ku zachodowi, zna-  
leźlibyśmy źródła płynące do wielkich je-  
zior słodkich. Tam Mohikan umarłby za-  
raz, jak ryba morska przeniesiona do kry-

nicy. Kiedy Manitu zstąpi i zawoła: — pójdźcie, — pójdziemy w dół rzeki ku morzu i odyskamy posiadłości nasze. Taka jest wiara dzieci żółwia, Delawarowie; oczy nasze zawsze są zwrócone na wschód, nie zaś na zachód słońca! Widzimy skąd światło przychodzi, ale nie wiemy dokąd idzie. — Powiedziałem.

Potomkowie Lenapów znajdując w ciemnej i przenośnej mowie młodego Sagamora urok tajemnicy, słuchali go z całą czcią i uwagą, jaką tylko zabobonność obudzić może. Unkas bystrém okiem śledził wszystkie wzruszenia słuchaczy, a im mocniejsze na ich twarzach malowało się uczucie, tém bardziej spuszczał z władczej powagi, jaką na początku był przybrał. Lecz kiedy przebiegając wzrokiem tłum niemy, otaczający podniesione siedzenie Tamemunda, postrzegł że Sokole Oko stał jeszcze skrepowany, zstąpiwszy natychmiast z małego pagórka, na którym

mówił, przyskoczył do przyjaciela i porzucił jego więzy. Skinął potem na tłum żeby się rozsunął i gdy poważni, lecz baczeni na rozkazy Indyanie uszykowali się znowu w ogromne koło, wzięwszy strzelca za rękę poprowadził do stóp patriarchy.

— Mój ojciec, — rzecze, — spojrzij na tego białego; jestto człowiek sprawiedliwy i przyjaciel Delawarów.

— Czy on syn Mikona? (\*)

— Nie, sławny wojownik Dżankiesów i pogromca Makwów.

— Jakież imię zjednały mu jego dzieła?

— My nazywamy go Sokolim Okiem, — odpowiedział Unkas w wyrazach delawarskich; — bo jego wzrok nie chybia nigdy. Mingom dał się lepiej poznać ze śmiertelnej broni: u nich ma on przyzwisko Długi Karabin.

---

(\*) Wilhelma Penna.

—Długi Karabin! —zawołał starzec, wytrzeszczone oczy wlepiając w strzelca; — mój syn niesłusznie nazwał go przyjacielem.

—Nazwałem go przyjacielem, bo nim jest w istocie, — odpowiedział młodzieniec łagodnie, ale z pewnością. — Jeżeli Unkas znajduje przyjęcie u Delawarów, Sokole Oko również miłym gościem powinien być u nich.

— On zabijał młodych wojowników moich, imię jego jest sławne z klęsk Lenapóm zadanych.

— Że lada jaki Mingo puścił takie kłamstwo do uszu Delawara, pokazał przez to tylko że jest oszczercą, — zawołał strzelec, uważając obecną zręczność za najdogodniejszą do usprawiedliwienia się z zarzuconej mu winy; — Makwów, to zabijałem; temu nie przeczę, i nawet przy samym ognisku ich rady; ale żeby moja ręka dobrowolnie miała uczynić co złego De-

lawaróm , o ! to jest potwarz bezczelna ; serce moje sprzyja im , równie jak wszystkiemu co do ich narodu należy .

Wśród głośnych okrzyków zadowolenia , wojownicy poglądali jedni na drugich , jak gdyby zaczynając domyślać się dopiero , co ich w błąd wprowadziło .

— Gdzie jest Huron ? — zapytał Tamemund ; — onżeto zatknął mi uszy ?

Magua , którego uczucia podczas tryumfu Unkasa łatwiej jest sobie wyobrazić niżeli opisać , skoro usłyszał swoje imie , zbliżył się do patryarchy i stanąwszy przed nim rzekł śmiało :

— Sprawiedliwy Tamemund nie zatrzyma tego zapewne , co Huron w jego ręku złożył .

— Powiedz mi , synu mojego brata , — rzecze mędrzec , odwracając oczy od łotrowskiej fizyonomii Chytrego Lisa , a z rozkoszą zatrzymując je na pełnej prostoty i



szczerości twarzy Unkasa, — czy cudzoziemiec ma nad tobą prawo zwycięzcy?

— Żadnego. Pantera może wpaść w siłę zastawione na nią, ale siłą je zrywa.

— A nad Długim Karabinem?

— Mój przyjaciel drwi z Mingów. Idź Huronie, zapytaj podobnych tobie, jaki kolor skóry niedźwiedzia!

— Nad cudzoziemcem i dziewczyną białą, co razem przyszli do mojego obozu?

— Droga powinna być wolna dla nich.

— Nad kobietą, którą Huron powierzył wojownikom moim?

Unkas milczał.

— Nad kobietą którą Mingo przyprowadził do mojego obozu? — powtórzył Tamemund poważnie.

— Należy ona do mnie! — zawołał Magua z tryumfującym podniesieniem ręki oglądając na Unkasa. — Wiesz Mohikanie, że należy ona do mnie.

— Mój syn milczy, — rzecze Tamemund,

usiłując wyczytać jego uczucia na odwróconej w bok jego twarzy.

— Prawda, — odpowiedział Unkas zeicha.

Nastąpiła chwila milczenia; widać było że naród ze wstrętem uznawał słusność dopominań się Minga; nakoniec mędzec, do którego wyrok należał, rzekł głośno.

— Huronie, idź sobie.

— Tak jak przyszedłem, Tamemundzie, — zapytał przebiegły Magua, — czy z rękoma pełnemi dobrej wiary Delawarów? Wigwam Chytrego Lisa jest pusty. Oddaj mu jego dobro.

Starzec zastanowił się na chwilę, a potem schyliwszy głowę ku jednemu z szędziwych towarzyszków zapytał:

— Uszy moje otwarte?

— Prawda.

— Ten Mingo jest wodzem?

— Pierwszym w swoim narodzie.

— Dziewczyno, o cóż ci chodzi? Wiel-

ki wojownik bierze cię za żonę. Idź, plemię twoje nie zagaśnie nigdy.

— Niech raczej zagaśnie tysiąc razy, niżeli bym miała uleść takiej sromocie,— zawołała Kora przejęta zgrozą.

— Huronie, duch jej jest w namiotach ojcowskich. Dziewczyna, która niechętnie do wigwamu czyjego wchodzi, nie szczęście z sobą przynosi.

— Ona mówi językiem swojego narodu,— odparł Magua, rzucając na swą ofiarę wzrok pełen gorzkiego urągania. — Ona pochodzi z plemienia kupców, i chce sprzedać łaskawe spojrzenie. Niech wielki Tame-mund stanowi.

— Czegoż żądasz ?

— Magua żąda tylko tego, co sam tu przyprowadził.

— Dobrze więc! idź ze swoją własnością. Wielki Manitu niepozwala Delawarowi być niesprawiedliwym.

Magua zbliżył się do swojej branki i

porwał ją za rękę; Delawarowie cofnęli się w milczeniu; Kora jak gdyby znała, że błagać dłużej, byłoby nadaremno, mężnie podała się przeznaczeniu.

— Poczekaj, Huronie, poczekaj! — wołał Dunkan zastępując mu drogę! — Zlituj się nad nią! Jej okup uczyni cię tak bogatym, jak jeszcze żaden z podobnych tobie nie był.

— Magua człowiek, czerwony, niepotrzebne jemu błyskotki białych.

— Złoto, srebro, proch, kule, wszystko, co wojownikowi przydać się może, co tak wielkiemu wodzowi przystoi, będzie w twoim wigwamie.

— Lis Chytry, bardzo jest mocny, — odpowiedział Magua, wstrząsając gwałtownie rękę, którą trzymał Korę; — odkwitował on za swoje.

— Wszechmocny Panie świata! — zawołał Hejward łamiąc w rozpacz ręce; — mogąż uchościć tak okrótnie bezprawia!

Do ciebie odzywam się sprawiedliwy Tamemundzie; czyliż nie dasz się ugiąć?

— Delawar wyrzekł już słowo, — odpowiedział mędrzec, z zamkniętymi oczyma spuszczać głowę na piersi, jak gdyby tyle wzruszeń wycieńczyło resztę sił jego. — Mężowie nie mówią po dwa razy.

— Bardzo mądrze, bardzo słusznie, — rzecze Sokle oko, dając znak Hejwardowi, żeby więcej nie turbował starca; — wódz niepowinien tracić czasu odwołując to co raz postanowił; ale też wojownik powinien namyślić się dobrze, nim swojego jeńca ugodzi w łeb tomahawkiem. Słuchaj Huronie, nie cierpię ciebie, i każdy Mingo nie więcej moją łaską pochłubić się może, a stąd wniosek łatwy, że jeżeli ta wojna pociągnie się jeszcze, nie mało wojowników waszych pozna, co to jest spotkać się ze mną. Zastanów się więc, czy lepiej ci zaprowadzić do obozu kobietę,



czy człowieka takiego jak ja, którego by cały naród pragnął rozbrojonego widzieć.

— Jakże to. Długi Karabin oddaje swoje życie za moją branke? — zapytał Magua w niepewności coby wolał, wracając parę kroków nazad.

— Nie, nie, ja nie zaszedłem tak daleko, — rzecze strzelec traktując tem obojętniej, im Magua okazywał się skwapliwszy do przyjęcia tej ofiary; — zamiana byłaby nie równa: najpierwsza z kobiet jakie są na pograniczu, czyliż warta wojownika, w sile wieku i zdolnego nie mało przysług uczynić dla kraju? Ale oto tak, przyrzekę pójść na zimowe leże i do pewnego czasu siedzieć zamknięty, jeżeli uwolnisz tę dziewczynę.

Magua wstrząsł głową z zimną pogardą i niecierpliwym skinieniem dał znak, żeby się tłum rozstał.

— Dobrze więc, dobrze; — zawołał Sokole Oko, z miną człowieka nie mającego

jeszcze ustalonej myśli, — poczekaj: dam ci nad to wszystko, moją danielówkę. Wierz słowu doświadczonego strzelca: w całej prowincyi nieznajdziesz równej strzelby.

Magua nie raczył odpowiedzieć, i przeciskał się dalej w głąb ludu.

— A gdybym podjął się wyuczyć strzelać twoich wojowników młodych, — dodał strzelec zapalając się w miarę tego, jak Huron ostygął; — możebyś już wtenczas nie miał co mówić?

Lis Chytry widząc, iż Delawarowie w nadziei, że wysłucha podawanych propozycji, zastępowali mu przejście, rozkazał dumnie dać sobie drogę i pogroził nowym odwołaniem się do niechybnej sprawiedliwości ich proroka.

— Co sądzono, to prędzej czy później stać się musi, — odezwał się Sokole Oko, z twarzą zmartwioną i smutną poglądając na Unkasa. — Niegodziwiec ten zna swoje przewagę i nie ustąpić nie chce!

Niech Bóg czuwa nad tobą, kochany chłopcze! Ty jesteś wpośród swoich, i spodziewam się, że będą ci oni sprzyjali równie jak ktoś inny, co ma krew niezmięszaną. Ja zaś mało mam przyjaciół; nikt śmiertelnego krzyku nie wyda po mnie; a czy trochę pierwej, czy trochę później, zawsze umrzeć trzeba. Prócz tego, szaleńcy ci pewno nie przestaną mię ścigać, póki mi tła nie rozsadzą: a zatem dwa lub trzy dni różnicy nie wielka rzecz w porównaniu wieczności! Błogosław cię Boże! — dodał zwracając znowu oczy na młodego przyjaciela; — kochałem cię zawsze, mój Unkas, kochałem ciebie i twojego ojca, chociaż kolor skór naszych nie zupełnie jest jednaki, i przyrodzenie różnie nas usposobiło. Powiedz Sagamorowi że w największych przygodach nie zapomniałem o nim; a ty sam będąc już na dobrym tropie, wspomnij też czasami o mnie i wierz mi, moje dziecię, że czy je-

dno, czy dwa są nieba, ale pewno jest przynajmniej ścieżka do drugiego świata, na której poczciwi ludzie spotkać się muszą. Znajdziesz moje strzelbę tam gdzieśmy schowali, zatrzymaj ją sobie przez miłość kumnie, i słuchaj, luby chłopcze, ponieważ przyrodzone usposobienie twoje, nie wzbrania ci nasycać się rozkoszą zemsty, nie szczędź danielówki dla Mingów; to przyniesie ci ulgę w żalu po mojej śmierci i będzie ci lepiej. Huronie, zgoda na twoje żądanie: puść swoją branke, a bierz mię sobie.

Postępek ten wspaniałomyślności i odwagi, obudził powszechny szmer uwielbienia; nie było śród Delawarów tak twardego serca, którego by nie wzruszyło to poświęcenie się bohaterskie. Magua stanął, wahał się przez chwilę; a potem rzucił na Korę wzrok pełen srogości i upodobania razem; twarz jego zmieniła się nagle, wola dała się widzieć wyraźnie:

wstrząsnąwszy głową wzgardliwie na znak że odrzuca zamianę, rzekł mocnym i dobitnym głosem :

— Lis Chytry jest wielki wódz; jedno ma on postanowienie. Idźmy — dodał poufale biorąc swą niewolnicę za ramię i popychając ją naprzód; — wojownik Huroński nie traci czasu na próżne słowa, idźmy.

Nieszczęśliwa piękność skoro poczuła obmierźłe dotknięcie swego prześladowcy, zaiskrzyły się jej oczy i twarz pokrył żywy rumieniec; skromnie jednak, chociaż z godnością, usunęła się z pod jego ręki i rzekła oziębłe :

— Jestem twoją niewolnicą, ale niepotrzeba gwałtu; kiedy będzie czas pójdę za tobą, chociażby na śmierć. — Odwróciwszy się potem do Sokolego Oka dodała:— Dziękuję ci z całej duszy szlachetny człowieku. Ofiara twoja nie została i nie mogłaby być przyjętą; ale możesz mi wyświadczyć daleko większą nawet łaskę.



Widzisz tę biedną dziewczynę, przywołaną zalem: nie opuszczaj jej póki nie odprowadzisz do mieszkań ludzi cywilizowanych. Nie mówię ci — zawołała nakoniec, w delikatnych swych dłoniach ściskając szorstką rękę strzelca, — nie mówię o nagrodzie od jej ojca: takich jak ty ludzi, wynagrodzić nie podobna; ale on będzie ci dziękował, będzie cię błogosławił. Ach! wierz mi, błogosławieństwo starca wiele znaczy w obliczu nieba; obym je mogła otrzymać teraz z ust jego, w chwili tak okropnej!

Zabrakło jej głosu, milczała czas niejaki, a potem przystąpiwszy do Dunkana trzymającego na ręku omdlałą jej siostrę, przemówiła znowu z najżywszym wyrazem głębokiego rozczenia: — Tobie Hejwardzie nie mam potrzeby polecać w opiekę tego skarbu, jaki posiadasz. Kochasz ją, i gdyby miała jakie wady, miłość zakryłaby je przed tobą; ale wiedz, że ona jest tak dobrą, tak łagodną, tak tkliwą, jaką

tylko istota śmiertelna byź może. To śnieżne czoło, jest słabym obrazem czystości jej duszy, — dodała odgarniając pukle światłych włosów rozrzucone po twarzy Aliny; — ileżbym jeszcze mogła powiedzieć na jej pochwałę; ale takie pożegnanie jest zbyt bolesne; muszę mieć litość nad tobą i nade mną samą.

Po tych słowach schyliła się ku martwej prawie siostrze, trzymała ją czas niejakiś w objęciach, a potem dała jej gorący pocałunek i powstawszy ze śmiertelną bladością na twarzy, lecz bez jednej łezki w oku, obróciła się do dzikiego i rzekła uroczyście:— Teraz, gotowam iść za tobą.

— Idź Magua, dobrze, idź, — zawołał Dulkan, składając Alinę na rękę młodej Indyanki stojącej blisko, — idź: Delawarom ich prawa zabraniają cię ścigać, lecz mnie nic nie przeszkadza. Idźże potworo, czego się ociągasz? nikt cię nie zatrzymuje.

Trudno opisać wyraz twarzy Chytrego Lisa, kiedy usłyszał tę groźbę. Zrazu była to radość nadzwyczajna; lecz natychmiast powściągnął ją i przybrał obojętność obtudną.

— Lasy są wolne, — odpowiedział spokojnie; — Dłoń Otwarta może iść za nami.

— Stój panie! — zawołał Sokole Oko, chwytając majora za ramię i wstrzymując go przemocą, — trzeba znać tę potworę; onby wprowadził pana na zasadzkę i śmierć...

— Huronie, — odezwał się Unkas, który ulegając surowemu zwyczajowi narodowemu, musiał dotąd tylko słuchać co się koło niego działo; — Huronie; sprawiedliwość Delawarów pochodzi od Manitu. Spójrzij na słońce. Widzisz je teraz pomiędzy gałęzmi. Kiedy wyniesie się nad drzewa, już będziesz miał wojowników za sobą.

— Słyszę krakanie wrony! — zawołał

Magua z szyderczym śmiechem. — Na bok! — dodał rzucając groźne spojrzenie na lud zwolna ustępujący mu z drogi. — Gdzie są delawarskie skwawy? Niech idą swoich strzelb i łuków przeciw Wyantom spróbować. Psy, łotry, drwią ja z was wszystkich!

Tak obelżywe pożegnanie przyjęte zostało w ponurem milczeniu. Magua z miłą tryumfującą prowadząc za sobą brankę, udał się ku lasowi, zabezpieczony niezłomnem prawem gościnności.

---

## ROZDZIAŁ VI.

„Zabić tego biedaka, miałbym na sumieniu.“

*Szekspir.*

**P**ÓKI Magua z nieszczęśliwą swoją ofiarą, mógł być widziany, póty tłumy ludu stały tak nieruchomie, jak gdyby jakaś nadprzyrodzona władza, przyjazna Huronowi, trzymała je w odrętwieniu; lecz skoro zszedł z oczu, wszystko poruszyło się natychmiast, każdy roztargniony biegł tu i owdzie, zgiełk i nieład co raz bardziej szerzyć się zaczął, Unkas także dopóty stał na wzgórku z oczyma wlepionemi w Korę, póki farby jej ubioru nie znikły w zieloności lasu; potem zstąpił na



dół i cicho przeszedłszy zgraję cisnących się koło niego wszedł do tej chaty, z której pierwiej go przyprowadzono.

Kilku poważnych i przezornych naczelników, postrzegłszy w oczach młodego wodza błyskawice gniewu, udało się za nim. Po kilku minutach Tamemund i Alina oddalili się z placu, a wnet kazano rozejść się kobietom i dzieciom. Wkrótce cały oboz stał się podobnym do ogromnego ula, w którym cały rój czeka tylko ukazania się i przykładu matki, żeby wylecieć na ważną i daleką wyprawę.

Nakoniec młody jeden wojownik wyszedł z chaty, gdzie był Unkas, poważnym, lecz niewątpliwym krokiem zbliżył się do karłowatego drzewa, wyrastającego z rozpadliny skalistej płaszczyzny; obdarł je z kory i nic nie mówiąc powrócił nazad. Drugi wojownik przystąpił po nim i obciawszy gałęzie zostawił sam tylko pień nagi. Trzeci później przyszedł i umalo-

wał drzewo w szerokie pasy ciemno czerwone. Mężczyźni będący na podworzu wszystkie te oznaki kroków nieprzyjaznych uchwalonych przez wodzów narodu, przyjęli w ponurem milczeniu. Nareszcie ukazał się sam Mohikan, bez żadnej odzieży na sobie, prócz pasa.

Zbliżywszy się powoli do drzewa, zaczął on tańcować koło pnia krokiem jednostajnym i nucąc swój śpiew wojenny, wydawał niekiedy wrzask dziki i niesforny. Głos jego raz był tak tkliwy, żałosny, melodyjny, iż można go było wziąć za kwilenie jakiego ptaszka; drugi raz zamieniał się w krzyk tak silny i straszny, iż wszystkich obecnych drżeniem przejmował. Pieśń wojenna składała się z niewielu słów powtarzających się często. Zaczynała się niby od jakiegoś hymnu albo wezwania bóstwa, oznajmowała potem zamiar wyprawy i kończyła się znowu pobożną odezwą do Wielkiego Ducha. Nie

mogąc wyobrazić czytelnikom melodyi i mocy śpiewu Unkasa, znaczenie słów podamy przynajmniej w tłumaczeniu następném.

„ Manitu! Manitu! Manitu! tyś dobry, tyś wielki, tyś mądry! Manitu! Manitu! tyś sprawiedliwy!

„ Na niebie, na obłokach, oh! ileż plam widzę! jedne czarne, drugie czerwone. Oh! ileż plam na niebie!

„ W lesie, w powietrzu słyszę krzyk, przeciągły krzyk wojny; oh! rozległ się krzyk w lesie, przeciągły krzyk wojny!

„ Manitu! Manitu! Manitu! jestem słaby, ty jesteś potężny; Manitu! Manitu! przybądź mi w pomoc!“

Na końcu każdej zwrotki Unkas przeciągał ostatnią nôtę nadając swemu głosowi wyraz stosowny do uczucia jakie wynurzał. Po pierwszej, głos jego był uroczysty i pobożny; po drugiej, nabrał więcej żywości i mocy; po trzeciej zmienił się w okropny krzyk wojny, jak

gdyby z ust młodego wodza wyszła razem cała wrzawa bitwy. Czwarta strofa zakończyła się pokornem, tkliwem, błagalnem wołaniem do bóstwa. Unkas trzy razy śpiew ten powtórzył i trzy razy tańcząc okrążył drzewo.

Kiedy kończył pierwsze koło, drugi wódz Lenapów przyłączył się do niego i zaczął tańcować śpiewając inne słowa, na podobną prawie nótę. Koleją dalsi wojownicy szli za ich przykładem i wkrótce wszyscy którzy tylko mieli jaką wziętość lub władzę, byli w ruchu. Widok ten stawał się co raz bardziej dziki i straszny. Im mocniej wodzowie rozjątrzali się wyziewając swoją wściekłość chrapliwym, gardłowym głosem; tym groźniejsze błyskawice ciskały ich oczy. W tém Unkas z przeciągłym, gwałtownym okrzykiem wojny, zagłębił swoją siekierę w pień malowany, na znak że obejmuje dowództwo nad przedsięwziętą wyprawą.

Hasło to obudziło wszystkie uspięone  
namiętności całego narodu. Sto młodych  
chłopców, których dotąd wstrzymywała  
nieśmiałość właściwa ich wiekowi, rzuci-  
ło się teraz z zajadłością na drzewo, wy-  
obrażające nieprzyjaciela i rozsiekalo je  
w najdrobniejsze cząstki.

Zapał ten objął wszystkich; dojrzałi  
wojownicy nawet chwytając rozrzucone  
drzazgi, szarpali je w rękach z taką wście-  
kłością, jak gdyby to były drgające człon-  
ki ich nieprzyjaciół. Tysiące nożów i sie-  
kier błyszczało w powietrzu. Widząc te  
uniesienia gniewu połączone z dziką rado-  
ścią, nie można było powątpiewać, że woj-  
na wypowiedziana z takim uczuciem sta-  
nie się narodową.

Rzuciwszy pierwszą iskrę pożaru, Mo-  
hikan usunął się z koła rozjuszonych wo-  
jowników i wstąpił na mały wzgórek.  
Wkrótce mocny głos jego, z energicznem  
skinieniem ręki, dał znak, że słońce dosię-



gło już kresu, do którego miał trwać rozjem z Huronem. Tłumy wzruszone na nowo, opuściwszy symboliczne wyobrażenie wojny, pośpieszyły gotować się na rzeczywistą wyprawę.

W mgnieniu oka, zmieniła się postać całego obozu. Wojownicy już umalowani i uzbrojeni przybrali powierzchność tak martwą, jak gdyby nic nie było zdolne ich wzruszyć. Kobiety powychodziły z mieszańk wydając krzyki radości i żalu pomieszane tak dziwnie, iż trudno było zgadnąć, które z tych dwóch uczuć brało górę. Żadna jednak nie stała bezczynnie: jedne unosiły co miały najdroższego, drugie starały się o bezpieczne schronienie dla dzieci albo słabych krewnych swoich; a wszystkie dążyły do lasu, bujną zielonością pokrywającego bok góry.

Tamemund także spokojnie i poważnie udał się za nimi po krótkim, lecz czułym pożegnaniu z Unkasem, z którym roz-

stawiał się tak niechętnie, jak ojciec z synem utraconym dawno i odzyskanym niespodzianie. Hejward umieściwszy Alinę w schronieniu bezpiecznym przybiegł do strzelca z zapałem w oczach, pokazującym ile go obchodził wypadek tego, na co się zanosilo.

Sokole Oko zaś, jak był oswojony ze śpiewem wojennym i wzruszeniami następującymi po nim; tak też trudno było zgadnąć jakie uczucia w podobnej chwili napełniały jego serce. Liczył on tylko wojowników gotowych iść za Unkasem i okazał trochę ukontentowania postrzegłszy że zapał młodego woda przebiegł prawie wszystkich zdatnych do boju. Wysłał potem kilkunasto letniego chłopca po swoje danielówkę i strzelbę Unkasa na miejsce gdzie je schowali w lesie zbliżając się do obozu Delawarów, z dwóch pobudek: raz żeby mieć przynajmniej broń zabezpieczoną jeśliby uwięzieni zostali; drugi raz, żeby

uchodząc raczej za biednych podróżnych, niżeli ludzi zdolnych do zaczepki lub oporu, nie ściągnąć na się podejrzania. Podobnież przezorność i roztropność radziła mu teraz nie narażać się samemu, lecz posłać kogo innego; wiedział bowiem, że Magua nie bez licznego orszaku przybył do Delawarów i był pewny że Huronowie czatowali już na nowych swych nieprzyjaciół. Lecz gdy każdy inny wojownik mógłby stracić życie w tej ułudze, obrat zatem dziecko, które bez podejrzania mogło wejść do lasu i pierwszej spełnić dane sobie zlecenie, nimby domyślono się jego zamiaru. Kiedy Hejward nadszedł, stał on właśnie czekając oziębłe powrotu swego posłańca.

Żwawy chłopczyna uszczęśliwiony, że położono w nim takie zaufanie, wystuchawszy danyh sobie przestrogi, pobiegł z sercem drgającym od radości i pełnym nadziei. Zbliżywszy się do lasu szedł

brzegiem z miną obojętną, aż póki nie-  
poznał miejsca, gdzie niedaleko strzelby  
schowane były, tu znikł pod liśćmi rozło-  
żystych krzaków i pełznął do pożądanego  
skarbu, jak płaz zwinnie. Nie trudno mu  
było zapewne znaleźć czego szukał, bo po  
kilku chwilach ukazał się ze strzelbą w ka-  
żdym ręku i pędem strzały puścił się przez  
równinę dzielącą las od skalistej wyżyny,  
na której stał oboz. Zaledwo z nadzw-  
yczajną lekkością zaczął wbiegać na górę,  
strzał ognistej broni dany w pogoń za  
nim z lasu, przekonał jak słuszna była o-  
stróżność Sokolego Oka. Mały Indianin  
odpowiedział na to, okrzykiem pogardy;  
druga kula z innego punktu została wy-  
mierzona przeciw niemu, lecz w tejże  
chwili stanął na płaszczyźnie skały i try-  
umfalnie podnosząc strzelby, z dumą zwy-  
cięzcy zwrócił się ku sławnemu strzelco-  
wi, który go zaszczycił tak chlubnem zle-  
ceniem.

Pomimo żywą troskliwość o młodego posłańca, Sokole Oko na widok kochanej swojej danielówki, zapomniał i o nim i o wszystkim w świecie. Pierwszą u niego rzeczą było obejrzeć na prędcę broń lubą czy nie poniosła jakiego uszczerbku. Odwiódł więc i spuścił kurek dziesiątek razy, a zapewniwszy się, że równie rura jak sprężyna w najlepszym znajdowały się stanie, obrócił się do chłopca i z najczulszą dobrocią zapytał, czyliby nie był ranny. Młody śmiałek spojrzął tylko na niego dumnie, i nic nie odpowiedział.

— Biedne dziecko, te łotry przestrelili tobie ramię! — zawołał strzelec, postrzegając wyżej łokciem szeroką ranę od kuli. — Ale nie bój się, kilka listków olszyny uleczy cię tak prędko, jak cud jaki. — Wcześniej zacząłeś sposobić się na wojownika, kochany chłopcze; spodziewam się, że do grobu wiele chlubnych bliźni poniesiesz. Znam młodych wojowników,



którzy już w wielu odznaczyli się potyczkach, a nie mają jeszcze tak zaszczytnego znaku! Idź,—dodał kończąc obwiązywać ranę, — z czasem będziesz wodzem.

Chłopiec odszedł bardziej pyszniąc się krwią płynącą mu z rany, niżeli najpróżniejszy dworzanin świeżo otrzymaną wstęgą. Rówiennicy poglądali na niego z uwielbieniem i zazdrością; lecz w chwili kiedy tyle ważnych i nagłych zatrudnień zajmowało wojowników, piękny postępek ten, co w innym czasie powszechną zwróciłby uwagę, teraz nie uderzył nikogo. Zdarzenie to jednak wydało Delawarom stanowisko i plan nieprzyjaciół. Wysłano zatem odział młodych wojowników dla wyrugowania Huronów z lasu; ale ci widząc że byli już odkryci usunęli się sami. Pogoń szła do pewnej odległości od obozu, potem zaś lękając się wpaść na

zasadzkę, stanęła czekać nowych rozkazów.

Tymczasem Unkas mimo pozorną spokojność, miotany wewnątrz niecierpliwością najżywszą, zwołał wodzów i zaczął rozdzielać im władzę. Naprzód jednak przedstawił strzelca, jako doświadczonego i godnego całej ufności wojownika, a widząc że wszyscy przyjmowali go z najgłębszym szacunkiem dał mu w dowództwo dwódziestu walecznych, czynnych i równie jak on śmiałych ludzi. Powiedziawszy potem Delawaróm jaki miał stopień w wojsku Dżankesów drugi jego przyjaciel, chciał mu podobnyż zaszczyt uczynić, lecz Hejward prosił żeby go zostawiono jako towarzysza przy boku strzelca. Po tych pierwszych urządzeniach, młody Mohikan przeznaczył rozmaite stanowiska dla celniejszych wodzów i nie mając czasu do stracenia dał hasło pochodu. Przeszło dwóchset wojowników ruszyło na-

tychmiast z radością, lecz w najgłębszem milczeniu.

Nic im nie broniło wejść do lasu; długo szli pod ciemnem drzew sklepieniem nie spotykając żadnej żywej istoty, coby myśliła stawić im opór, lub mogła dać jakąkolwiek wiadomość potrzebną; nareszcie zatrzymali się w najgęstszej puszczy i wodzowie zszedłszy się w gromadę zaczęli naradzać się pocichu. Wiele było podawanych planów, lecz żaden nie odpowiadał niecierpliwości młodego naczelnika. Gdyby mógł on pójść jedynie za popędem swego charakteru, pewnoby bez żadnego namysłu prowadził wojsko do boju i wypadek potyczki zdał na los szczęścia; ale gdy niepodobna mu było przetykać zwyczajów narodowych i narażać się na utratę dobrego mniemania o sobie, chociaż więc popędliwy i odważny jego umysł nienawidział rad ostrożności, chociaż na wspomnienie o niebezpieczeń-

stwach, jakie groziły Korze w ręku gotowego na wszystko barbarzyńcy, wszelką zwłókę uważał za nikczemność, musiał atoli każdy podawany środek roztrząsać spokojnie.

Po kilku minutach bezskutecznej narady, postrzeżono jakiegoś człowieka w oddaleniu. Przybywał on od strony gdzie leżał oboz nieprzyjaciół, i szedł tak śpiesznie, iż można go było wziąć za posła niosącego warunki pokoju. Kiedy zbliżył się na dwieście lub trzysta kroków do zarośli, w których odbywała się rada Delawareów, zaczął wahać się jak gdyby był niepewny drogi i nareszcie stanął zamyślony. Wszyscy dopiero zwrócili oczy na Unkasa, jakby zapytując co należało czynić.

— Sokole Oko, — szepnął młody wódz strzelcowi, — potrzeba żeby on nigdy już nie zobaczył Huronów.

— Ostatnia to chwila jego życia, —

krótko odpowiedział strzelec, wysuwając z pomiędzy liści koniec swojej rusznicy; lecz kiedy wziął na cel, zamiast tego co by miał strzelić, położył broń na ziemi i rozśmiał się po swojemu.

— Bogdajby licho! — rzecze, — wszakto ja tego półgłówka wziąłem był za Minga! Ale gdym zaczął mierzyć go wzrokiem, żeby w najlepsze miejsce ugodzić, czy dasz temu wiarę Unkas, kogo poznałem? — naszego śpiewaka, Dawida Gammę. Oto masz go, stoi głupiec, i cóżby nam przyszło z jego śmierci, a życie może będzie jeszcze pożyteczne, kiedy tylko prócz śpiewów potrafim co wydobyć mu z gardła. Jeżeli harmonija mojego głosu nie straciła swojej władzy, powitam go miłszym dźwiękiem niż huk danielówki.

To mówiąc zaczął skradać się po za krzakami i zbliżywszy się do Dawida o tyle, aby mógł być dobrze słyszany, po-



wtórzył ten sam śpiew harmonijny, za pomocą którego tak szczęśliwie uszedł był z obozu Huronów. Gamma miał ucho tak delikatne i wprawne, iż nie podobna było, aby nie poznał głosu słyszanego już dawniej, zwłaszcza gdy nikt prócz Sokolego Oka nie mógł wrzeszczeć w ten sposób. Ucieszony więc nieborak odgadnąwszy skąd głos wychodził, z taką łatwością jak stary żołnierz odgaduje gdzie strzelono z armaty, rzucił się na to miejsce i wnet znalazł ukrytego śpiewaka.

— Chciałbym wiedzieć co Huronowie pomyślą o tém, — rzecze strzelec biorąc dawnego towarzysza za rękę i prowadząc do Delawarów. — Jeżeli tylko mogą nas słyszeć, pewno powiedzą, że zamiast jednego dwóch już jest warjatów. Ale nie lękaj się, jesteście tu bezpieczni, — dodał ukazując mu Unkasa i jego wojsko. — Opowiedzże nam teraz, na co tam zanosi

się u Mingów, tylko czysto po angielsku i bez żadnych trelów.

Dawid widząc koło siebie dzikie i ponure oblicza wodzów przestraszył się z razu, lecz poznawszy głównego naczelnika przyszedł do siebie tyle przynajmniej że mógł zdobyć się na następną odpowiedź:

— Poganie wystąpili w pole, bardzo licznie, i lękam się czy nie mają jakich złych zamiarów. Było tam u nich i krzyku i stuku, a nakoniec od półgodziny powstała tak djabelna wrzawa, że dalibóg nie mogłem już wytrzymać i wyszedłem do Delawarów spokojności szukać.

— Nie wieleby twoje uszy wygrały na tem, gdybyś się był pośpieszył, — rzecze strzelec; — ale mniejsza o to. Gdzie Huronowie są teraz?

— Ukryci w lesie na drodze stąd do ich osady, lecz tak ich wiele, że jeżeli chcecie usłuchać rostopności to wracajcie się nazad.

Unkas rzucił na swoich towarzyszów szlachetne i dumne spójrzenie, a potem dodał: — a Magua gdzie?

— Z nimi razem. Przyprowadził on od Delawarów starszą panienkę i zamknąwszy ją w jaskini, jak wilk wściekły pobiegł stanąć na czele swoich. Nie wiem coby-go rozdrażniło do takiego stopnia.

— Powiadasz że w jaskini ją zostawił? — zawołał Hejward; — szczęściem dowiedzieliśmy się gdzie się ona znajduje. Czy nie można znaleźć jakiego sposobu, żeby ją natychmiast wybawić?

Unkas wlepił pierwszej oczy w strzelca nim go zapytał: — Co Sokole Oko myśli o tém?

— Daj mi moich dwódziestu ludzi, — odpowiedział strzelec, — wezmę się na prawo, pójdę po za strumieniem i przechodząc mimo mieszkań bobrowych zabiorę Sagamora i półkownika. Wiatr wieje w tę stronę; łatwo usłyszycie wkrótce nasz

krzyk wojenny. Natenczas, Unkas pędź ich do nas; a kiedy będą już w mecie, daję ci uczciwe słowo strzeleckie, że każdy zegnę się jak łuk jesionowy. Potem przez ich obóz pójdziemy prosto do jaskini uwolnić biedną panienkę. Plan nie bardzo uczony, Panie Majorze; ale przy cierpliwości i odwadze można go uskutecznić.

— Wyborny! — zawołał Dulkan, rad że oswobodzenie Kory było jego celem;—bardzo mi się podoba. Trzeba tylko podług niego działać natychmiast.

Po krótkiej naradzie plan strzelca został potwierdzony; zaraz ogłoszono go rozmaitym wodzóm i każdy pośpieszył na wyznaczone sobie stanowisko.

---

## R O Z D Z I A Ł VII.

---

I nie wprzódę się w swoim gniewie Feb uśmierzy,  
Aż król powróci zdobycz, którą dotąd trzyma  
I darmo odda branę z czarnemi oczyma.

*H o m e r.*

**K**IEDY Unkas rozdzierał swoje siły, lasy były tak spokojne, i prócz kilkunastu osób naradzających się cicho, tak na pozor pozbawione mieszkańców, jak w ówczas kiedy pierwszy raz z rąk Stworzyciela wyszły. Oko zagłębiając się pomiędzy gęste drzew konary spotykało tu i ówdzie wolne przerwy śród gałęzi i liści, lecz nigdzie nie mogło postrzedz nic takiego, co by było obce temu miejscu, albo niezgodne z jego ciszą.



Jeżeli czasem gałązka zachwiana od ptaka, lub orzech upuszczony z łapek wiewiórki, zwróciły uwagę Delawarów na miejsce skąd ten szelest pochodził, wnet tém uroczystsze i bardziej uderzające następowało milczenie. Ciągłe tylko dawał się słyszeć szmer płynącego powietrza po zieloném sklepieniu puszczy na wiele set mil rozległej.

Widząc pustki i głęboką głuszę lasu, dzielącego stanowisko Delawarów od obozu ich nieprzyjaciół, możnaby było mniemać, że nigdy stopa ludzka nie powstała w tych stronach: bezwładność i spoczynek ogarniały tu wszystko; lecz Sokole Oko postawiony na czele głównego działania, nie tak mało znał z kim miał do czynienia, żeby go mogły złudzić te zwodnicze pozory.

Kiedy się jego oddział zgromadził, wziął on swoją danielówkę pod pachę, i dawszy znak towarzyszóm poszedł nazad ku rzecz-

ce, którą przebywali przychodząc. Nad jej brzegiem zatrzymał się, póki wszyscy nie nadeszli, a potem zapytał w języku delawarskim :

— Czy wie kto z was dokąd płynie ten strumień ?

Jeden Delawar wyciągnął rękę, otworzył dwa palce i ukazując ich spojenie, odpowiedział :

— Nim słońce bieg swój zakończy, mała rzeka będzie w wielkiej. — Czyniąc później nowy gest wyrazisty, dodał: — Połączone obie stają się jedną dla hobrów.

— Tak ja i myślałem uważając kierunek wody i położenie gór okolicznych;— rzecze Sokole Oko, rzucając bystry swój wzrok pomiędzy rozdzielone drzew wierzchołki. — Wojownicy! będziemy skryciszli brzegiem tej rzeczki, aż póki nie wpadniem na trop Huronów.

Towarzysze swoim zwyczajem przez krótkie wykrzyknienie dali znak zgody; lecz

gdy naczelnik ruszał z miejsca żeby im przodkować, niektórzy wyrazili mu namigach, że nie wszystko jest jak należy. Strzelec zrozumiał ich natychmiast i obejrawszy się postrzegł psalmistę dążącego za nimi.

— Czy wiesz, przyjacielu, — odezwał się do niego poważnie, a może i nieco pyszniąc się ze swojego dowództwa; — czy wiesz, że to jest oddział nieustraszonych wojowników, wysłany na niebezpieczną wyprawę i prowadzony przez takiego, co chociaż nie zdatny do układania pięknych słówek, ale lubi prędko przystępować do dzieła? Nim upłynie dziesięć minut, może już trzeba będzie iść po ciałach martwych czy żywych Huronów.

— Lubo ustnie nie byłem uwiadomiony o waszém przedsięwzięciu, — odpowiedział Dawid z ożywioną twarzą i takim ogniem w oczach, jakiego nigdy nie miało jego spokojne i bez żadnego wyrazu spojrze-

nie, — żołnierze twoi przywiedli mi na myśl synów Jakóba, idących przeciw Sichemitom za to, że ich wódz chciał pojąć żonę z narodu wybranego od Pana. Nadto, wiele odbyłem podróży z panienką, którą staracie się oswobodzić, mieszkałem przy niej w okolicznościach bardzo opacznych, i chociaż nie jestem człowiekiem wojskowym, chociaż nie noszę szabli u boku, chciałbym uczynić cokolwiek dla niej w tym razie.

Sokole Oko wahał się przez chwilę, jak gdyby nie wiedział co miał czynić z tak szczególniejszym ochotnikiem, a potem odpowiedział :

— Wiesz co, mój przyjacielu, nie umiesz robić żadną bronią, nie masz strzelby; lepiej zostaw to nam samym: Minogowie oddadzą zaraz co wzięli.

— Nie mam ja wprawdzie chętności i okrucieństwa Goliatowego, — rzecze Dawid wydobywając procę z pod poły; — lecz nie zaniechałem naśladować syna Izrae-

la. W dzieciństwie często wprawiałem się do tej broni; mozem więc nie zupełnie jeszcze zapomniał jej używać.

— Hm! — rzecze Sokole Oko obojętnie i wzgardliwie oglądając procę i skórzany fartuch psalmisty; — mogłoby to wszystko bydz dobre, gdybyśmy mieli bronić się tylko od strzał, albo wreszcie i nożów; ale to bieda że Francuzi każdego Minga opatrzyli w porządną strzelbę. Jednak, ponieważ jak się zdaje masz sekret, za pomocą którego cały przechodzisz szród ognia i tyle byłeś dotąd szczęśliwy.... Panie majorze, dla czego pański kurek nie na piesku? Dostyc strzelić raz przed czasem, żeby dwadzieścia głów rozsadzić bez użytecznie. — Jeżeli chcesz, śpiewaku, idź sobie z nami; będziesz mógł nam dopomodz, kiedy przyjdzie wydać okrzyk wojny.

— Dziękuję ci przyjacielu; strapiłaby się dusza moja, gdybyś był mię nie przy-



jął,— odpowiedział Dawid, jako naśladowca, którego pysznił się imieniem, zbierając nad rzeczką kamienie do fartucha, chociaż nie miał żadnej skłonności kogokolwiek zabić.

— Nie zapomnij tylko,— dodał strzelec rzucając na niego znaczące spojrzenie; — że idziemy bić się, a nie trele wywodzić. Pamiętaj że nim przyjdzie pora wydać okrzyk wojny; żaden inny głos prócz huku strzelb nie powinien odzywać się tutaj.

Dawid pokornem skłonieniem głowy dał znak, że przyjmuje ten warunek, a Sokole Oko spojrzawszy jeszcze raz na swoich jak gdyby chciał zapewnić się czy są wszyscy, kazał ruszać dalej.

Oddział strzelca więcej mili szedł po nad rzeką. Spadziste jej brzegi i krzaki otaczające same koryto, zasłaniały ich tak dobrze, iż z żadnego punktu śledzące oko nie mogłoby ich ujrzeć; przez całą drogę jednak, nie zaniedbywano wszelkich ostrożności, właściwych Indyanóm idącym do

boju. Dwóch dzikich w pewnej odległości przodkując swoim towarzyszom, płazem prawie pełzło po za obu brzegach, a bystry ich wzrok przez każdy otwór między gałęziami wciskał się w głąb lasu. Nie dość na tém, cała gromada zatrzymywała się co pięć minut i najmniejszy szelest różniano z delikatnością słuchu, ledwo pojętą dla ludzi mniej zbliżonych do stanu natury. Nie wszakże nie wstrzymało ich kroków i przyszli aż na miejsce, gdzie mniejsza rzeczka łączyła się z większą, nie mając żadnego powodu mniemać iżby byli odkryci. Strzelec kazał tu stanąć i podniósł oczy ku niebu.

— Możemy mieć dobry dzień do bitwy, — rzecze do Hejwarda po angielsku, ciągle przypatrując się powłoczystym chmurkom. — Kiedy słońce świeci i strzelba lśni się, trudno jest brać na cel. Wszystko nam sprzyja; Huronowie mają wiatr przeciw sobie: cały dym poleci im w o-

czy; nam zaś nie niebędzie ómiło wzroku. Ale otoż już kończą się zarośle i nie masz żadnej dla nas zasłony. Bobry od sta lat zamieszkały te nadbrzeża: widzisz pan co tu pniów pozgryzanych! ledwo gdzie nie gdzie drzewo żyjące niby jeszcze.

Strzelec w kilku tych słowach dał trafny rys widoku, jaki otworzył się przed nimi. Rzeka płynęła tu nie jednostajnie, raz cisnąc się gwałtownie przez skaliste parowy, drugi raz rozlewając się szeroko na głębokie doliny. Wszędzie nad brzegami dawały się widzieć suche drzewa dawniej lub później pozbawione życia; jednych były już tylko pnie czarniawe, inne świeżo ogołoczone z kory, zaledwo więdnąć poczynały. Kilka rozwalonych i mchem porośłych bobrowych chatek, czas jeszcze oszczędzał, jakby na świadectwo, że kiedyś całe pokolenia tych stworzeń zaludniały tę pustynię.

Nigdy strzelec z takim natężeniem u-

wagi nie oglądał wszystkich stron okolicy, pośród której znajdował się teraz. Wiedział on że mieszkania Huronów były najdalej o pół mili i lękając się wpaść na jaką zasadzkę, z niespokojnością szukał bądź najmniejszego śladu nieprzyjaciół.

Raz lub dwa razy brała go chętka dać hasło do szturm i ubiedz nieprzyjacielski oboz, lecz zawsze doświadczenie przedstawiało mu natychmiast całe niebezpieczeństwo tak zuchwałego kroku. Znowu więc nadstawiał ucha i z niecierpliwością pragnął usłyszeć jakikolwiek znak potyczki w stronie gdzie stał Unkas; ale nie przylatywało z tamąd, prócz świszającego wiatru, który w przestworach lasu zmiatając i wicherząc liście zapowiadał burzę. Nakoniec uprzykrzyła mu się ostrożność, poszedł za natchnieniem wrodzonej sobie odwagi i postanowił nie ociagać się dłużej.

Skoro wódz stojący na podsfuchach za krzakiem w pewnej odległości przed swoim

oddziałem, dał rozkaz cichym głosem; wojownicy ukryci w parowie przy samém łożysku rzeki, zaczęli wysuwać się na brzeg wyniosły, jak żałobne cienie, i wnet wszyscy zgromadzili się koło niego. Sokole Oko wskazawszy palcem gdzie iść mieli, ruszył sam na przód. Delawarowie uszykowali się rzędem i szli za nim pojedynczo, tak ściśle stąpając w jego ślady, iż gdyby nie było Hejwarda i Dawida, pozostałby znak przechodu jednego tylko człowieka.

W tém zaledwo ukazali się na otwartém miejscu, dziesiątek wystrzałów razem dało do nich z tyłu; jeden Delawar podskoczywszy jak daniel ugodzony kulą, padł na ziemię bez ruchu.

— No! a właśnie lękałem się jakiegokolwiek czartowstwa podobnego rodzaju! — zawołał strzelec po angielsku i zaraz z szybkością błyskawicy dodał w ję-



zyku Delawarów : — Prędko za drzewa, i strzelać!

Na te słowa cały oddział rozpierzchnął się tak szybko, że nim Hejward ochłonął z zadziwienia, już sam tylko pozostał z Dawidem. Ale na szczęście Huronowie wzięli się do odwrótu i w tej chwili przynajmniej nie było niebezpieczeństwa dla nich. Przerwa ta potyczki nie trwała jednak długo; zaraz Sokole Oko ukazał się z ukrycia, dał ognia, i na czele swoich nacierając nieprzyjaciół cofających się zwolna, przeskakiwał od drzewa do drzewa to strzelając, to nabijając strzelbę.

Zdawało się z początku, że bardzo mała liczba Huronów była w zasadzce; lecz im usuwali się dalej, tym więcej ich przybywało i wkrótce zebrały się siły zdolne wstrzymać, a nawet i odeprzeć Delawarów. Hejward wmięszał się pomiędzy walczących i naśladując ostrożność towarzyszy, strzelał ciągle kryjąc się i ukazując

się naprzemian. Bitwa wzmagąca się co raz bardziej. Huronowie zatrzymali się w odwrócie; obie strony stanęły na miejscu. Mało jednak było ranionych, bo każdy usiłował ile możności kryć się za drzewem i wtenczas tylko wychylał się trochę kiedy brał na cel.

Z t $\acute{e}$ m wszystki $\acute{e}$ m po $\acute{l}$ o $\acute{z}$ enie Delawarów zaczyna $\acute{e}$ ło pogorsza $\acute{c}$  się widocznie. Sokole Oko przewidywał bardzo dobrze co ich spotka $\acute{c}$  mog $\acute{e}$ ło, lecz nie miał sposobu temu zaradzi $\acute{c}$ . Równie cofa $\acute{c}$  się jak sta $\acute{c}$  na miejscu by $\acute{ł}$ o niebezpiecznie, bo nieprzyjaciel otrzymuj $\acute{a}$ c ci $\acute{a}$ gle nowe posiłki, rozszerza $\acute{ł}$  skrzyd $\acute{l}$ a w ten spos $\acute{o}$ b,  $\acute{z}$ e ma $\acute{l}$ a garstka wojownik $\acute{o}$ w strzelca, prawie nie mog $\acute{a}$ c ju $\acute{z}$  znale $\acute{s}$ ć zas $\acute{o}$ ny, musia $\acute{l}$ a zwolnić ogie $\acute{n}$ , a wkr $\acute{o}$ tce spodziewa $\acute{l}$ a się by $\acute{d}$ z otoczona $\acute{m}$  przez ca $\acute{l}$ e pokolenie Huron $\acute{o}$ w. W chwili tak okropnej obawy, krzyk wojenny i huk broni r $\acute{e}$ cznej rozleg $\acute{l}$  się blisko tego miejsca, gdzie Unkas sta $\acute{l}$  w g $\acute{l}$ ę-

bokiej dolinie, daleko niżej od wzgórza, na którym Sokole Oko potykał się z zajadłością i rospaczą.

Nagły ten odgłos drugiej potyczki sprawił dla strzelca i jego towarzyszków najpomyślniejszy skutek. Nieprzyjaciel oczywiście podług pewnego planu wykonywał swoje obróty, lecz mylnie rachując liczbę zatajonego w lesie oddziału, zostawił zbyt małą siłę przeciw gwałtownemu natarciu młodego Mohikana. Gdy więc wrzawa bitwy zaczęła zbliżać się co raz bardziej, Huronowie opasujący hufiec Sokolego Oka, zmiarkowawszy że ich towarzysze ulegają, pośpieszyli w większej części na główny punkt obrony.

Głosem i przykładem zagrzewając wojowników swoich, Sokole Oko dał natychmiast rozkaz nacierać na nieprzyjaciela, co podług ich sposobu toczenia bitew znaczyło posuwać się od drzewa do drzewa co raz bardziej naprzód, nie ukazując się

jednak na widok. Attak ten szedł z początku pomyślnie, Huronowie musieli cofać się bez przestanku. Lecz skoro weszli w gęste zarośle, zatrzymali się znowu i potyczka inny obrót wzięła. Ogień z obu stron równie był rześisty; wytrwałość oporu odpowiadała zapałowi napaści i nie można było zgadnąć na czyją szalę padnie los wygranej. Delawarowie nie stracili jeszcze ani jednego człowieka, ale z powodu mniej obronnego stanowiska, krew ich zaczynała już płynąć obficie.

Gdy tak znowu groziło niebezpieczeństwo, Sokole Oko znalazłszy zręczność wemknął się za też same drzewo, za którym chronił się Hejward, i mając po prawej ręce większą część wojowników swoich gotowych na każde zawołanie, dawał szybkie lecz bezskuteczne wystrzały do nieprzyjaciół zasłonionych gęstwiną.

— Pan jesteś młody, majorze, — rzekł nakoniec do towarzysza, opierając się dla

wytchnienia na ulubionej danielówce swojej; — jesteś młody, a zatem może kiedykolwiek zdarzy się panu dowodzić wojskiem przeciwko tym szatanom Mingom. Masz więc zręczność poznać zasadę bitw indyjskich. Cała rzecz zależy na tem, żeby mieć rękę szybką, oko bystre i schronienie blizkie. Przypuśćmy, że pan komenderujesz teraz oddziałem wojsk królewsko amerykańskich: zobaczmyż jakbyś postąpił w tym razie.

— Kazałbym tych łotrów wysadzić na bagnety.

— Zapewne, takto rozumują wszyscy biali. Ale w tych pustyniach każdy wódz powinienby naprzód zapytać sam siebie, czy nie można oszczędzić choć jednego życia! Niestety! — dodał kiwając głową jak gdyby smutna myśl mu przyszła; — ze wstydem wyznać muszę, że przyjdzie czas kiedy w tych potyczkach koń będzie stanowił wszystko. Bydle więcej zdąży



niż człowiek, i będziemy musieli na koniec wziąć się do koni. Przypuść pan konia za dzikim; jak tylko raz wystrzeli, pewno nie zatrzyma się nigdy żeby nabić znowu.

— O tém pomówimy lepiej innym czasem, — przerwał Hejward; — a teraz czy mamy przypuścić atak?

— Nie rozumiem dla czego, jeżeli potrzeba wytechnąć chwil kilka, nie mielibyśmy obrócić tego czasu na pożyteczne uwagi, — odpowiedział strzelec łagodnie. — Attakować zbyt nagle, nigdy ja nie lubię, bo to zawsze bezpotrzebnie kilka głów kosztuje. Jednakże, — dodał nastawując ucha ku tej stronie, gdzie w oddaleniu dawał się słyszeć hałas bitwy, — może Unkas żąda naszej pomocy; trzeba rozpędzić tych łotrów, co nam zastępują drogę.

To rzekłszy, odwrócił się natychmiast z pewnem już postanowieniem i głośno za-

wolał na swoich Indyan. Ci odpowiedzieli mu przeciągłym krzykiem i na dany znak każdy szybko obiegnął koło swojego drzewa. Skoro tylu ukrytych nieprzyjaciół ukazało się razem, Huronowie chwycili się do strzelb i dali ognia, lecz z pośpiechu żaden nie trafił. Delawarowie natenczas nie dając im ani odetchnąć, wielkimi susami rzucili się do nich, jak pantery na swą zdobycz. Nie ominęło to jednak, czego się strzelec obawiał: kilku starych, przebieglejszych nad innych Huronów, nie dało się oszukać tym sposobem; oszczędzili oni naboje i przypuściwszy Delawarów, blisko, trzech położyli trupem. Strata ta wszakże, bardziej jeszcze rozjuszyła towarzyszków Sokolego Oka: z wściekłością wpadłszy między gęste krzaki zmiotali wszystko cokolwiek im stawiło opor.

Walka siły na siłę nie trwała długo: Huronowie śpiesznie ustępować musieli; lecz skoro ujrzeli się już na drugim brze-

gu zarośli bez żadnej zasłony za sobą, stanęli znowu i wzięli się do obrony z tą zajądłością, jaką okazuje zwierz drapieżny wyparty ze swojej jamy. W chwili krytycznej kiedy bitwa jeszcze raz zaczynała być wątpliwą, huk strzału rozległ się z tyłu Huronów, kula gwiżdżąc przeleciała trzebież bobrową i wnet pośród ich mieszkań dał się słyszeć potężny okrzyk wojny.

— To Sagamor! — zawołał strzelec, ogromnym głosem powtarzając krzyk przyjaciela; — wzięliśmy ich we dwa ognie, nie ujdą nam teraz!

Trudno jest wystawić sobie, do jakiego stopnia, niespodziany ten atak przeraził Huronów. Pozbawieni wszelkiej zasłony, nie myśląc już o żadnym sposobie odporu, wszyscy razem wydali krzyk rozpaczony i w ucieczce tylko szukali ratunku. Wielu ich natenczas padło od kul nieprzyjacielskich.

Nie zatrzymamy się nad opisem spotkania strzelca z Szyngaszgukiem i czulszych jeszcze powitań Dunkana z ojcem jego Aliny. Kilka słów powiedzianych na prędcie wytłumaczyło wzajemnie stan rzeczy, a potem Sokole Oko przedstawując oddziałowi swemu Sagamora, złożył swą władzę w ręce naczelnika Mohikanów. Szyngaszguk przyjął dowództwo, do którego urodzenie i więźność dawały mu niezaprzeczone prawo, z tą powagą, jaka szczególnie zaręcza posłuszeństwo wodzowi dzikich. Idąc za przewodnictwem strzelca nowy wódz i wojownicy jego poszli na powrót przez też same zarośle, co dopiero były placem krwawej potyczki. Delawarowie znajdując swoich trupów ukrywali starannie, poległym nieprzyjaciołom zaś obdzierali głowy. Ponieważ zwycięzcy po tak żwawej utarczce potrzebowali wytchnienia, Sagamor kazał zatrzymać się na jednym pagórku gęstemi pokrytym drze-

wami. U nóg ich na wiele mil ciągnął się ciasny wąwoz zarosły lasem: w śródku tego parowu Unkas walczył przeciwko głównym siłom Huronów.

Mohikan i jego towarzysze przystąpiwszy nad krawędź wzgórza słuchali pilnie. Wrzawa bitwy zdawała się co raz bliższą; ptastwo zaczęło przelatywać nad doliną, jak gdyby spłoszone hukiem, i wkrótce dym rozciągnięty poziomie wznosząc się nad drzewa, ukazał miejsce najzaciętszej potyczki.

— Zbliżają się w tę stronę, — rzecze Duncan, skoro rozległ się nowy wystrzał ręcznej broni; — jesteśmy tak na samym śródku ich linii, że nie będziemy mogli działać skutecznie.

— Ciągną oni do tego dołu, gdzie najgęstsze drzewa, — odpowiedział strzelec, — i będziemy mogli uderzyć na nich z boku. A co, Sagamorze, zaraz będzie czas wydać okrzyk wojny i sięść im na kark. Ja tym



razem pozostanę z wojownikami mojego koloru: ty mnie znasz, Mohikanie; bądź pewny że ani jeden nie przejdzie tej rzeczki, co jest za nami, nie usłyszawszy huku danielówki.

Wódz indyjski stał jeszcze chwil kilka cały zajęty wrzawą bitwy, która zbliżając się widocznie, oznajmowała że Delawarowie brali górę, i nie pierwwej zszedł z swojego miejsca, aż kule padając koło niego jak ziarna gradu przed burzą, przeświadczyły go iż równie przyjaciele jak nieprzyjaciele, byli już bliżej niżeli się spodziewał. Sokole Oko z towarzyszami swoimi ukrył się za gęstym krzakiem i czekał dalszych wypadków z tą niezachwianą spokojnością, jaką w podobnym razie, tylko samo przyzwyczajenie nadać może.

Wkrótce huk broni ognistej przestał powtarzać się po lasach i grzmiał tak czysto, jak gdyby strzelano na otwartem po-

lu. Nakoniec Huronowie wyparci z puszczy zaczęli ukazywać się jeden po drugim ; i zbierając się co raz gromadniej szykowali się za ostatnimi drzewami, gdzie pozbawionych dalszego ratunku rozpacz już tylko uzbrajała w męstwo. Hejward drżący z niecierpliwości nie mógł ustać na miejscu i zaiskrzone oczy ciągle zwracał na Szyngaszguka, zapytując go niby, czy nie czas już uderzyć. Lecz pełen powagi i godności wódz siedząc na urwisku skały, przypatrywał się bitwie tak spokojnie, jak gdyby był najobojętniejszym widzem.

— Czas już Delawaróm dać ognia ! — odezwał się nareszcie Dulkan.

— Nie jeszcze, nie, — odpowiedział strzelec ; — kiedy nasi zbliżą się dosyć, Saggamor oznajmi że jest tutaj. Patrz pan, łotry zbierają się za tą kupą sosen, jak pszczoły koło swej matki. Dalibóg, dziecko trafiłoby kulą w śrzodek tego roju.

W tém Szyngaszguk dał hasło, cały oddział jego strzelił razem i dziesiątek Huronów padło trupem. Na jego okrzyk wojny odpowiedziało radosne wołanie w lesie i tejże chwili rozległ się wrzask tak przeraźliwy, jak gdyby tysiąc piersi wyzionęło go spólnie. Strwożeni Huronowie pierzchnęli na dwie strony, a przez złamany szrodek ich szeregu, Unkas wyszedł z lasu na czele przeszło stu wojowników.

Rzucając rękoma w lewo i w prawo, młody wódz ukazywał nieprzyjaciół towarzyszom swoim. Rozerwane skrzydła Huronów uciekały w dwie przeciwne strony, zwycięzcy poszli za zbiegami w po-goń, rozdwoił się odgłos bitwy i oddalając się w rozmaitym kierunku niknął powoli w miarę tego, jak walczący zagłębiali się w puszczy. Jednak nieliczny hufiec Huronów gardząc ucieczką cofał się zwolna, jak gromada osoczonych lwów i wstę-

pował na wzgórek, z którego tylko co Szyngaszguk ze swoim oddziałem pośpieszył do boju. Magua odznaczał się pomiędzy nimi, równie hardą i dziką, jak rozkazującą jeszcze postawą.

Zapamiętałe rozsyłając wszystkich wojowników swoich na ściganie zbiegów, Unkas pozostał prawie sam jeden. Mimo to wszakże, skoro ujrzał Chytrego Lisa, żadnej więcej uwagi czynić niezdolny, wydał okrzyk wojny, i gdy czterech lub pięciu towarzyszków przyskoczyło do niego, bez względu na nierówność liczby, rzucił się ku nieprzyjaciołom. Magua śledząc każdy krok nienawistnego przeciwnika, skoro postrzegł że młody bohater, uniesiony niebacznym zapałem, sam się podaje pod jego ciosy, zatrzymał się z sercem drgającym od okrótnej radości; lecz w tem rozległ się krzyk z drugiej strony i Długi Karabin ukazał się na czele białych. Hu-

ron znowu wziął się do odwrotu i ucho-  
dził dalej na wzgórek.

Unkas ścigał tak zapalczywie, że prawie nie widział przyjaciół spieszących mu w pomoc. Próżno Sokole Oko wołał na niego żeby się nie narażał. Krok w krok idąc za nieprzyjaciółmi, zuchwale gardził ich strzałami i zmuszał uciekać tak szybko jak gonił. Szczęściem, zawzięte goni-  
twy te nie trwały długo, inaczej strzelec ze swoimi pozostałby w tyle, a młody Mo-  
hikan padłby ofiarą zbyt znacznej odwagi. Lecz nim co podobnego stać się mogło, zwyciężeni i zwycięzcy niemal razem wpadli do wsi Wyandotów.

Na widok mieszkań swoich nowém męż-  
stwem zagrzani Huronowie, stanęli raz je-  
szcze i z wściekłością rozpaczliwie walczyli przed ogniskiem rady. Nigdy wichur nie przelatuje takim pędem i z tak okropnym spustoszeniem, jak przeszła ta bitwa. Siekiera Unkasa, strzelba Sokolego Oka i silne je-



szcze ramię Munra, tyle dokazywały cudów, że wkrótce trupy pokryły ziemię. Jednakże Magua, mimo swą zuchwałość i bezustanne narażanie się na ciosy szukających go nieprzyjaciół, pozostał w życiu. Rzekł by kto, że podobnie jak owych rycerzy znajomych nam z legend i bajek starożytnych, bronił go talizman jakiś. Skoro już w koło niego wszyscy towarzysze polegli, wydając krzyk okropny, w którym obok największej wściekłości wyrażała się rozpacz, Lis Chytry z dwoma tylko pozostałymi przyjaciółmi opuścił plac potyczki, zostawując Delawarów zajętych zbieraniem krwawych łupów zwycięstwa.

Lecz Unkas, który go dotąd nie mógł upatrzeć w tłumie, postrzegłszy teraz rzucił się za nim w pogoń. Sokole Oko, Hejward i Dawid pośpieszyli w ślady swojego przyjaciela; mimo wszelką usilność jednak, strzelec ledwo zdołał zbliżyć się do niego o tyle, aby w przypadku mógł mu

dać pomoc. Zdawało się raz, że Magua chciał odwrócić się jeszcze i próbować czyliby mu nie udało się nasycić swej zemsty, ale odepchnąwszy myśl tę zaledwo powstała, tuż przed nadchodzącymi nieprzyjaciółmi wemknął się między gęste krzaki i wpadł do znajomej czytelnikowi jaskini. Sokole Oko widząc że już Lis Chytry ujść im nie potrafi, wykrzyknął z radości i na czele swoich towarzyszków czém prędzej wskoczył za nim do pieczary, żeby nie stracić go z oczu. Kiedy tak przebiegali długie i ciasne wydrążenie pod ziemią, tłumy kobiet i dzieci z przeraźliwym wrzaskiem uciekały przed nimi. Przy słabem i grobowem świetle lochu można je było wziąć za duchy albo cienie pierzchające na widok żyjących.

Ale Unkas nie widział nikogo prócz Magui; jego jednego szukał oczyma, jego pilnował się kroków. Hejward i strzelec po-

wodowani témże samém, chociaż nie tak mocnem, uczuciem, ścigali go również. Lecz im bardziej posuwali się w głąb lochu, tym większa ogarniała ich ciemność; a nieprzyjaciele doskonale znając drogę uchodzili im z rąk prawie i nakoniec znikli zupełnie. Wtém biała suknia mignęła w ciasnem przejściu prowadzącem jak się zdawało na wierzchołek góry.

— To Kora! — zawołał Hejward głosem drżącym od zbytku wzruszenia.

— Kora! Kora! — powtórzył Unkas, jak daniel wyskakując naprzód.

— To ona, — odezwał się strzelec. — Nie lękaj się pani, my tutaj, my jesteśmy tutaj!

Widok nieszczęśliwej ofiary dodał im nowego zapału, można powiedzieć skrzydeł. Ale droga stawała się co raz bardziej przykra, zawałona urwiskami głazów i w niektórych miejscach prawie nie podobna do przebycia. Unkas rzucił strzelbę

która była mu na zawadzie i biegł zapamiętałe, Hejward uczynił toż samo, lecz wkrótce poznali swą nieroztropność, bo Huronowie w ucieczce przez wąską pieczarę, znaleźli czas dać ognia do goniących za nimi i kula lekko zraniła młodego Mohikana.

— Trzeba ich dognać! — zawołał strzelec, prawie z rozpaczyny nadzwyczajnym skokiem wyprzedzając towarzyszków;; — łotry nie mogą chybiać do nas w tym miejscu, a sami, widzącie zasłaniają się swoją niewolnicą.

Niezważając na te słowa, albo raczej nie słysząc ich, przyjaciele Sokolego Oka poszli jednak za jego przykładem, i przez niestychane usiłowania wkrótce dowiedzieli, że mogli już widzieć Korę ciągniętą przez dwóch Huronów, a przed nimi Maguę pokazującego drogę. W tym nagle światło dzienne wpadło do jaskini; postacie prześladowców i nieszczęśliwej ofiary,

mignęły po skalistej ścianie i znikły zaraz. Niejakiś szal rozpaczy podwoił i tak już nadludzkie prawie siły Unkasa i Hejwarda. Postrzegłszy otwór wyskoczyli obadwa z pieczary i ujrzeni nieprzyjaciół uchodzących na stromą górę.

Droga była niezmiernie spadzista i usiana kamieńmi. Z długą rusznicą w ręku nie mogąc biedz tak śpiesznie, a może też mniej żywą zagrzewany troskliwością o los branki, strzelec pozostał za Hejwardem, obu zaś Unkas wyprzedził. Tym porządkiem pędząc przesadzali urwiska i przepaści, które w innym razie zdawałyby się im niedostępne. Na koniec znój ich wynagrodzony został; zbliżyli się znacznie do Huronów, opóźniających się z powodu Kory.

— Stójcie, psy Wyandoty! — zawołał Unkas z wierzchołka skały grożąc podniesionym tomahawkiem; — oddajcie nam dziewczynę Delawarów!



— Ja nie pójdę dalej, — zawołała Kora wstrzymując się nagle nad brzegiem głębokiej rozpadliny prawie u szczytu góry. — Lepiej mię zabij, przeklęty Huronie; nie pójdę dalej!

Dwaj Huronowie będący przy niej z obu stron, natychmiast podnieśli tomahawki z tą radością okrótną, z jaką podług powszechnego mniemania, szatani chwytają się do złego. Lecz Magua wstrzymał ich ciosy, powyrywał z rąk maczugi i rzucił daleko, a dobywszy noża, z twarzą wyrażającą najgwałtowniejsze i najsprzeczniejsze namiętności, rzekł do swojej niewolnicy:

— Kobięto, wybieraj: wigwam albo nóż Chytrego Lisa!

Kora nie zwróciwszy ku niemu jednego spojrzenia padła na kolana, twarz jej przybrała jakiś wyraz nadzwyczajny; wznosząc oczy i ręce do nieba, wymówiła cichym, lecz pełnym ufności głosem:

— Boże, oddaję się tobie; czyń ze mną co ci się podoba!

— Kobięto, — chrapliwie powtórzył Magua, — wybieraj!

Lecz Kora jaśniejąca spokojnością jak anioł, nie słyszała tych nalegań i żadnej nie dała odpowiedzi. Huron drżąc cały podniósł nóż w górę i wnet opuścił rękę, jakby niepewny co miał czynić. Zdawało się że gwałtowna walka szarpała jego duszę, po chwili jednak znowu podniósł broń zabójczą, ale wtém krzyk przeraźliwy rozległ się nad jego głową. Unkas nie mogąc wytrzymać dłużej z niezmierniej wysokości rzucił się na wąską krawędź skały, gdzie stał morderca. Magua zwrócił oczy w górę, a tymczasem jeden z towarzyszków jego, mając swobodną porę, utopił nóż w piersiach dziewicy.

Postrzegłszy to Huron jak tygrys skoczył rozgniewany na swego przyjaciela; lecz w tejże chwili rozdzielił ich Unkas

z wielkiego pędu padając pod nogi Chytrego Lisa. Potwór ten zapomniał natychmiast o innym przedmiocie swej zemsty, a bardziej jeszcze rozjątrzony zabójstwem dopiero popełnioném w jego oczach, z piekielnym okrzykiem podle ugodził w plecy przypadkiem obalonego Unkasa. Młody bohater zerwał się jeszcze, nakształt ranionej pantery, i w ostatniem wysileniu położywszy trupem mordercę Kory, sam znowu upadł na ziemię; a chociaż nie zdolny dać najmniejszego oporu, dumnym i nie ustraszonym wzrokiem zdawał się mówić Chytremu Lisowi, coby uczynił gdyby mu sił nie brakło. Okrótny Magua porwał natenczas młodego Mohikana za bezwładną już rękę i trzy razy pchnął nożem między żebra, nim oczy jego z wyrazem najgłębszej wzdardy, ciągle utkwione w twarz nieprzyjaciela, powlekła mgła śmiertelna.

— Stój! stój! Huronie, — wołał Hej-

**TOM IV.**

25

ward na wierzchołku skały głosem przenikającym; — miej litość nad innymi, jeżeli chcesz sam doświadczyć litości!

Zwycięzca Magua spojrział na młodego żołnierza i ukazując mu oręż cały zbrozony we krwi nieszczęśliwych ofiar, wydał krzyk tak okropny, tak dziki i tak dobrze malujący jego barbarzyński tryumf, iż wojownicy potykający się jeszcze na dolinie, więcej niż o tysiąc stop pod nim, nie potrzebowali tłumaczenia co ten głos znaczył. Wnet po nim rozległy się straszliwe groźby i ukazał się strzelec, sadząc przez glazy i przepaści tak szybkim i pewnym krokiem, jak gdyby jakaś władza niewidzialna unosiła go w powietrzu. Lecz kiedy przybył na miejsce rzezi, znalazł już tylko okrwawione trupy.

Sokole Oko jedne rzucił na nie spojrzenie i zaraz wzrok swój bystry podniósł na górę, prawie prostopadłe sterczącą przed nim. U samego jej wierzchołka stał ja-

kiś człowiek w groźnej postawie, z rękoma wzniesionemi nad głową. Nie przypatrując się długo, strzelec zmierzył do niego; lecz w tém odłam skały spadając nagle i gniotąc jednego ze zbiegów odkrył całą osobę i pozwolił wyraźniej widzieć gniewem zapaloną twarz poczciwego Gammy. W tém Magua wyszedł z głębokiej jamy, z najzimniejszą obojętnością przestąpił zwłoki ostatniego towarzysza, wielkim susem przeskoczył szeroką rozpadlinę i zaczął wstępować na skałę, gdzie już pociski Dawida szkodzić mu nie mogły. Jedną jeszcze pozostawało mu przesadzić przepaść, żeby bydź bezpiecznym zupełnie, kiedy zatrzymał się w pędzie i rzucając na strzelca urągające spójrzenie, zawołał:

— Biali psy! Delawarowie baby! Magua zostawuje ich między skałami kruków na pastwę!

To rzekłszy rozśmiał się okropnie i skoczył z całej siły, lecz nie dosięgnął prze-



ciwnego brzegu i padając uczepił się rękoma za gałęzie krzaku rosnącego nad urwiskiem. Sokole Oko krok w krok gonił za nim, tak trzęsąc się cały, że koniec jego strzelby podniesiony nieco w górę drgał jak listek od wiatru. Nie mordując się daremnie Lis Chytry, opuścił się w dół ile wystarczała mu długość ramion, a znalazłszy o co oprzeć nogę, dźwignął się nagle i zdołał kolana zarzucić na krawędź skały. W ten czas dopiero, kiedy skupiła się jego postać, strzelec wziął go na cel. Okoliczne skały nie były bardziej nieruchome od rusznicy Sokolego Oka, w chwili wystrzału. Huron opuścił ręce i głowę w tył odrzucił, mocno jednak klęcząc na miejscu. Utkwiwszy potem w nieprzyjaciela wzrok zagasty chciał jeszcze skinieniem pokazać, że nie dba o niego; lecz siły go odbiegły, przechylił się na wznak i poleciał w przepaść, gdzie przeznaczenie grób mu wyznaczyło.

## ROZDZIAŁ VIII.

---

Nakoniec zemsty dzień żądany świeci,  
Srogich plac mordów żre Muzułman krwawy,  
A tryumfalny głos Hellady dzieci  
Rozległ się pieniem wolności i sławy.  
Ty coś zwycięstwem wsławił kres tej wojny  
Cny Botzarysie! dzielne grono bratnie  
Z pychą, bez żalu, opuszczasz spokojny,  
W spadku im czyny rzucając ostatnie.

*Halleck.*

**N**AZAJUTRZ o świecie pokolenie Le-  
napów przedstawiało tylko obraz smutku  
i żałoby. Ucichła wrzawa bitwy, a zwy-  
cięstwo więcej niż zemstę przyniosło dla  
nich, bo od wieków nienawistny im ród  
Mingów całkiem wyniszczony został. Mil-  
czenie i ciemność panujące na miejscu,  
gdzie był oboz Huronów, tłumaczyły aż

nadto los koczowniczej tej hordy. Chmury kruków, już na wierzchołkach gór uganając się o zdobycz, już z chrzęstem skrzydeł tłumnie wpadając w szerokie przerwy lasu, obmierzłym wskazywały sposobem gdzie było życie, gdzie śmierć jest teraz. Słowem, oko najmniej oswojone z widokami, jakie zbyt często zdarzają się na pograniczu dwóch pokoleń nieprzyjających, poznałoby od razu okropne ślady zemsty Indyjskiej.

Jednakże pierwsze promienie słońca zastały Lenapów we łzach. Nie było słychać żadnego okrzyku zwycięstwa, żadnego pienia tryumfu. Ostatni wojownik obdarłszy resztę głów nieprzyjacielskich, wrócił już z pola bitwy, i zaledwo zdołał zmyć ślady krwawych dzieł swoich, śpieszył do spółobywateli, by ubolewać z nimi razem. Duma i zapach ustały miejsca pokorze: po okrzykach zemsty, rozległy się jęki najgłębszego żalu.

Chaty stały pustkami : ktokolwiek uszedł śmierci, biegł na przyległą równinę i łączył się do tłumu, w ponurém i uroczystém milczeniu składającego ogromne koło. Mimo różnicę dostojęństwa, płci i wieku, wszystkich jedno przejmowało uczucie, wszystkich oczy były utkwione w jedno miejsce wewnątrz koła, gdzie znajdował się przedmiot tak dotkliwej i powszechnej boleści.

Sześć dziewcząt Delawarskich z rozpuszczonemi po ramionach uplotami długich i czarnych włosów, za ledwo śmiejąc podnieść kiedy niekiedy rękę, rzucało wonne ziółka albo leśne kwiatki na mary uplecione z roślin pachnących, na których pod baldakinem z tkanin indyjskich zrobionym na prędcę, spoczywały martwe zwłoki czulej, szlachetnej, pełnej zapachu Kory. Piękna jej postać uwinięta była w mnóstwo również prostych zasłon, a twarz tak niegdyś czarująca wdziękiem,

ukryta na zawsze przed wzrokiem śmiertelnych. U nóg jej siedział smutkiem przywalony Munro. Szędziwa głowa jego schylona prawie aż do ziemi, wyrażała korne poddanie się woli Opatrzności; lecz na czole malowała się najgłębsza boleść. Przy nim Gamma z głową wystawioną na promienie słońca, ciągle tkliwy wzrok przenosił od przyjaciela, którego tak trudno było mu pocieszać, na książkę, w której tylko mógł czerpać siły i sposoby do tego. Nieco dalej Hejward oparty o drzewo starał się ukrywać wzruszenia żalu przewyższające moc jego charakteru.

Jakkolwiek dopiero opisany widok był melancholiczny i smutny, smutniejszy jednak przedstawiał się na drugim brzegu koła. Unkas jak gdyby był żywy, siedział ubrany w najkosztowniejsze ozdoby, jakich tylko bogactwo jego pokolenia dostarczyć mogło. Najrzadsze pióra powiewały mu nad głową, w skrzepłym ręku



połyskiwał jeszcze groźny oręż, na szyi i ramionach lśniło się mnóstwo kanaków i medali wszelkiego rodzaju, chociaż zagaśle jego oczy i twarz ostygła, przerażającą stawiły sprzeczność obok tego przepychu, którym duma starała się go otoczyć.

Na przeciw nieszczęśliwego syna, stał Szyngaszguk bez żadnej broni, bez żadnej ozdoby, bez żadnego malowidła, prócz świetnego herbu żółtawia raz nazawsze wypiętnowanego mu na piersiach. Od chwili jak się zgromadziło pokolenie, stary Mohikan nie spuścił oka z martwej twarzy swojego Unkasa. Wzrok jego był tak osłupiały, postać tak nieruchoma, iż gdyby nie konwulsyjne zżymania się, do jakich czasem boleść żalu doprowadzała ojca, a ciągła spokojność śmierci na obliczu syna, obcy przychodzień nie mógłby zgadnąć, kto z nich dwóch był pozbawiony życia.

Obok Szyngaszguka, strzelec w najgłęb-

szém zadumaniu, z głową zwieszoną, opierał się na tej broni, co nie zdołała uratować jego przyjaciela. Trochę dalej Tamemund utrzymywany przez starszyznę pokolenia, zajmował mały wzgórek, skąd jednym rzutem oka mógł widzieć cały swój lud posępny i niemy.

We wnętrzu, lecz blisko brzegu koła znajdował się jakiś przybylec w cudzoziemskim mundurze. Za kołem zaś, kilku konnych sług jego z lożnym koniem stało jakby w gotowości do dalekiej drogi. Mundur jego pokazywał, iż należał do orszaku naczelnika Kanady: wyprawiony zapewne z poselstwem pokoju, gdy dzika popędliwość sprzymierzeńców uprzedziła jego starania, musiał zostać tylko cichym widzem wypadków sprzeczki, której zapobiedz nie zdołał.

Słońce już ubiegło czwartą część dziennej drogi, a ciągle jeszcze od wschodu jutrzeńki niema bezwładność, godło o-

plakiwanej śmierci, ogarniała strapione pokolenie. Żaden głos nie odezwał się, prócz kilku łkań przytłumionych, żaden ruch nie dał się postrzedz, prócz składania niewinnych ofiar przez młode rowiennice Kory. Rzekłby kto że wszystkimi osobami w dziwném tém widowisku, były posągi kamienne.

Nakoniec mędrzec wyciągnawszy ramiona oparł się na barkach starych towarzyszków swoich i powstał z trudnością, tak wycieńczony i słaby, jak gdyby od dnia wczorajszego, kiedy jeszcze z uczuciem i mocą przewodniczył radzie narodowej, przywalił go ciężar całego wieku. — Mężowie Lenapy! — odezwał się potém ponurym, wieszczym głosem, — oblicze Manitu jest za obłokiem, oczy jego odwróciły się od was, uszy są zamknięte, usta nie dają wam odpowiedzi. Nie widzicie go, a jednak karzą was wyroki jego. Otwórzcie serca, nie dopuszczajcie się kłam-

stwa. Mężowie Lenapy! oblicze Manitu jest za obłokiem.

Głębokie i uroczyste milczenie nastąpiło po tych prostych i strasznych słowach, jak gdyby duch czczony od pokolenia sam przemówił. Wśród skruszonych i nieruchomych tłumów ludu, jeden Unkas zdawał się być istotą żyjącą.

Po kilku minutach, cichy, słodki szmer jakiś, rozpoczął pewien rodzaj pienia na cześć ofiar wojny. Był to smutny, płaczliwy, przejmujący duszę głos kobiet. Śpiewaczki nie miały słów ułożonych wcześniej, lecz kolejną jedną po drugiej nucąc tę niby modlitwę pogrzebową, wyrażały co im uczucie lub wzruszenie natchnęło.

Niekiedy gwałtowne łkania i jęki przerywały śpiewanie, a wtenczas dziewczęta otaczające Korę, rzucając się na ziemię w szaleństwie żalu, rozmiatały kwiaty własną usypane ręką. Lecz skoro tylk<sup>o</sup>

pierwszy zapęd smutku uciszać się zaczynał, śpieszyły znowu opłakiwanej przywracać te oznaki niewinności i dobroci. Pieśni ich chociaż rozerwane składały jednak pewien ciąg pochwał Unkasa i Kory.

Jedna z tych dziewcząt, urodzeniem i przymiotami wyższa nad towarzyszki, będąc przeznaczona opiewać młodego wojownika, wystąpiła naprzód i zaczęła od skromnego wyliczania cnót jego. Wyrażeniom jej szczególniejszy nadawały wdzięk owe obrazy wschodnie, co niegdyś zapewne przez Indyan z drugiego końca lądu przyniesione, są niejakoś ogniwem łączącym historją dwóch światów. Nazywała go panterą swego pokolenia; wystawiała przebiegającego wzgórze krokiem tak lotnym, że noga jego nie zostawiała śladu na piasku, sadzącego ze skały na skałę z wdziękiem i lekkością młodego danielka. Oko jego porównała do gwiazdy błyszczącej



w noc ciemną; głos podczas bitwy, do gromu zagniewanego Manitu. Przypomniała mu nakoniec matkę rozwodząc się nad tém, jakie to było dla niej szczęście mieć takiego syna; prosiła go żeby przy pierwszém spotkaniu się z nią w krainie duchów powiedział, że dziewczęta Delawareńskie łzami oblewając mogiłę jej syna, nazywały ją błogostawioną.

Po niej nastąpiły inne i tkliwszym jeszcze głosem, z delikatnością płci ich właściwą uczyniły wzmiankę o cudzoziemce, którą śmierć razem z bohaterem wydzierając ziemi, pokazała, że duch wielki chciał ich połączyć na zawsze. A jeżeli towarzyszka jego nie miała wiadomości najgłówniejszych, jeżeli nie była zdatna do wszystkich usług, których taki, jak on wojownik wymagać miał prawo, prosiły go o łagodność i pobłażanie, bo jej nikt nie uczył. Bez żadnego cienia zazdrości rozwodziły się potem nad niezrównanemi jej

wdziękami, nad mocą szlachetnej odwagi, nad mnóstwem przymiotów wynagradzających aż nadto brak wychowania.

Dalsze później z kolei głosem czucia i miłości przemawiając do młodej cudzoziemki, starały się ją przekonywać, że nie powinna była lękać się o siebie, że jej szczęście jest zapewnione, bo strzelec zdolny opędzić wszystkie jej potrzeby i dzie z nią razem, bo wojownik silniejszy od wszystkich niebezpieczeństw czuwa nad nią. Podróż jej będzie spokojna i ciężar lekki, tylko niech się nie smuci daremnie po przyjaciółach dzieciństwa, po miejscach pobytu jej ojców. Wszakże w świętych lasach, gdzie polują duchy Lenapów, są równie uśmiechające się doliny, równie przezrocyste źródła, równie piękne kwiaty, jak w niebie białych. Napomniały jednak przy tém, żeby była troskliwą o swego towarzysza, i nie zapomi-

nała nigdy o różnicy, jaką mądry Manitu między nią a nim położył.

W tém ożywiając się nagle, wszystkie razem zaczęły znowu opiewać przymioty Mohikana. Miał on szlachetność, męstwo, odwagę, wszystko co wojownikowi przystoi, co młodej dziewczynie podobać się może. Kształcąc potém myśli swoje w subtelne, oddalone obrazy, dały do zrozumienia, że chociaż tak krótko bawił pomiędzy niemi, skłonność jego serca nie uszła przenikliwości płci ich właściwej. Dziewczęta Delawarskie nie miały dla niego powabu; pochodząc z narodu Sagamorów, co niegdyś brzegi wód słonych posiadał, przyłgnał sercem do ludu mieszkającego śród mogił jego przodków. Z resztą czyliż nie dawała się wytłumaczyć ta skłonność? Wszystkich oczy postrzedz mogły, że biała dziewczyna była krwi czystszej niżeli cały jej naród; że potrafiłaby znośić trudy, i niebezpieczeństwa życia pę-

dzzonego w lasach. A teraz, — dodały nakoniec, — Duch wielki przeniósł ją na miejsce, gdzie wiecznie szczęśliwa będzie.

Zmieniwszy potem głos i przedmiot, wspomniały o jej towarzysze płaczącej w blizkiem mieszkaniu. Łagodny, czuły jej charakter porównały do czystych nieskażonych gwiazdek śniegu, co równie łatwo topnieją od słońca, jak powstają od mrozu; pukle świątłych jej włosów do splotów młodej latorośli winnej; błękit oczu do sklepienia niebios; delikatność płci do białego obłoczka zrumienionego pierwszym promieniem słońca. Lecz chociaż przez spólność żalu życzliwe dla młodego wodza białych, chociaż nie wątpiły o jego przywiązaniu ku Alinie, chociaż strzeżły się wyraźnie czynić różnicy, można jednak było poznać, że nie upatrywały w niej tak wielkich przymiotów jak w Korze.

Podczas smutnych i słodkich tych pie-

śni w całym zgromadzeniu najgłębsza panowała cichość; przerywały ją tylko niekiedy gwałtowne, wybuchnienia żalu. Delawarowie słuchali jakby oczarowani jakimś urokiem : na wyrazistych ich twarzach dawało się czytać każde odcienie powszechnie udzielających się wzruszeń. Dawid nawet uczuł ulgę słysząc tak miłe głosy, i kiedy już śpiewy ucichły, w oczach jego błyszczało jeszcze żywe rozrzewnienie.

Strzelec, który z pomiędzy białych jeden tylko rozumiał język Delawarów, podniósł trochę głowę, żeby niestracić żadnego słowa dziewcząt; lecz kiedy zaczęły wystawiać życie Unkasa i Kory w lasach szczęśliwych, wstrząsnął głową jako człowiek znający błąd prostej ich wiary i znowu schyliwszy czoło ku ziemi, aż do końca żałobnego obchodu stał zamyślony. Szczęściem wyrazy dzikich nie zrozumiały dla Hejwarda i Munra, nie mogły obudzić ich żalu.



W pośród rozrzewnionych Delawarów, jeden Szyngaszduk był wyjątkiem; osłupiałe oczy jego, ani razu nie zwróciły się w stronę; podczas najtkliwszych wyrzekkań, żaden rys jego twarzy nie okazał najmniejszego wzruszenia duszy. Martwe i zimne ciało syna, było dla niego wszystkim: zdawało się, że stracił wszystkie zmysły prócz wzroku i dla tego tylko żył jeszcze, żeby patrzeć na tę twarz, co tak mile przed tém uśmiechała się do niego, a teraz na zawsze miała być ukrytą przed nim.

W tém mąż poważnej i surowej postawy, wojownik sławny z dzieł wielu, a mianowicie z zasług położonych w ostatniej bitwie, powoli wystąpił z tłumu i zbliżył się do zwłok Unkasa.

— Dla czego ty nas opuściłeś, zaszczyćcie Wapanaków?—rzecze do młodego wojownika, jak gdyby ten mógł go słyszeć;— życie twoje nie trwało nad chwilę, lecz

blask twojej sławy był jaśniejszy od słonecznego ognia. Poległeś młody zwycięzco; ale seciny Wyandotów poszły przed tobą torować ci ścieżkę śród cierni, do świata duchów. Któżby pomyślał widząc ciebie na polu bitwy, że mogłeś umrzeć? Kto kiedykolwiek przed tobą wskazywał Utsawie drogę do boju? Nogi twoje były lżejsze od skrzydeł orlich, ręka cięższa od gałęzi spadającej z wierzchołka sosny, głos podobny do Manitu grzmiącego w obłokach. Słowa Utsawy bardzo są słabe,— dodał smutnie; — boleść przeszła mu serce; zaszczycie Wapanaków, dla czego nas opuściłeś?

Po Utsawie inni wojownicy przystępowali kolejną, aż póki wszyscy znakomitsi wodzowie w narodzie, nie oddali ostatecznego hołdu towarzyszowi broni. Potem znowu najgłębsza cichość nastąpiła.

Wśród tej ciszy podniósł się jakiś szmer głuchy i lekki naksztalt brzmienia muzy-

ki oddalanej. Głos ten z razu, tak słabo i niewyraźnie uderzał uszy, że nie można było zgadnąć skąd pochodził; lecz powoli zaczął nabierać mocy i dźwięku; wkrótce dały się słyszeć jęki, wyrzekania, żale, a niekiedy i słowa przerywane. Drżące usta Szyngaszguka wyjawily nakoniec, że to on chciał przyłączyć swój głos do pochwał oddawanych jego synowi. Wszystkie oczy przez poszanowanie dla ojcowskiego smutku, spuściły się ku ziemi; żaden znak nie wydawał uczuć jakich doświadczali Delawarowie, chociaż na ich twarzach i w samych postaciach nawet można było czytać, że słuchali z tak chciwą i natężoną uwagą, jaką dotąd Tame-mund tylko mógł zjednać.

Lecz pilność ta, była daremną; głos zaczął drżeć, upadać, mieszać się i niknąć, jak przelotne echo muzyki unoszone wiatrem. Usta Sagamora zamilkły i oczy znowu zwróciły się na Unkasa, cała postać

skrzepła została bez ruchu, jak utwor z rąk wszechmogącego upuszczony przed waniem duszy. Delawarowie widząc, że nieszczęśliwy ojciec nie dość był przygotowany do zniesienia ostatniego ciosu, dali mu jeszcze chwil kilka, a tym czasem przez wrodzony sobie instynkt delikatności, całą uwagę zwrócili niby na pogrzebowy obchód młodej cudzoziemki.

Jeden z najstarszych wodzów dał znak kobietom otaczającym ciało Kory; dziewczęta natychmiast wzięły mary i niosąc je powolnym, mierzonym krokiem, cicho i żałośnie opiewały przymioty nieboszczki. Gamma, który pilnie przypatrywał się tym obrzędom tak pogańskim dla niego, oparł się na ramieniu półkownika i szepnął mu do ucha:

— Panie, wszakto już niosą zwłoki twojego dziecka, nie pójdziemyż za nimi, nie zmówiemyż przynajmniej na mogile chrześcijańskiego pacierza?

Munro zadrżał, jak gdyby głos trąby ostatecznego sądu obił się o jego uszy; rzuciwszy potem w koło siebie bolesne i niespokojne spojrzenie, powstał z ziemi i poszedł za ciałem córki krokiem żołnierza, lecz z sercem ojca upadającym pod ciężarem żalu. Otoczyli go również przejęci smutkiem przyjaciele; sam nawet młody oficer francuzki towarzyszył mu wzruszony mocno, zbyt wczesnym i gwałtownym zgonem tak pięknej kobiety. Skoro tylko wszystkie Delawarki podług wskazanego sobie porządku zajęły miejsca w orszaku żałobnym, mężowie pokolenia Lenapów ścisnęli się w gromadę i znowu opasali Unkasa milczącym i nieruchomym tłumem.

Dół dla Kory był wykopany na małym wzgórku, gdzie kilka młodych i bujnych sosen, rzucało cień posępny. Dziewczęta przyhywszy tutaj, złożyły swój ciężar na ziemi, i z cierpliwością odznaczającą In-



dyanki, a z nieśmiałością właściwą ich wiekowi, czekały żeby ktokolwiek z przyjaciół Kory upoważnił ich do dalszej czynności pogrzebowej. Nakoniec strzelec, który jeden tylko znał ich zwyczaje, odezwał się po delawarsku:

— Wszystko to dobrze co moje córki zrobiły; biali dziękują im za to.

Zadowolone tą pochwałą dziewczęta, włożywszy ciało do truny z kory brzo-zowej zręcznie, a nawet wytwornie zrobionej, spuściły je w ciemne i wieczne jego mieszkanie. Zwyczajnym porządkiem potem, w milczeniu przykryto mogiłę ziemią pomieszaną z gałęzmi i liśćmi, a oddawszy ostatnią tę posługę młode Delawarki zatrzymały się jeszcze, jakby nie wiedząc czy miały wypełniać dalsze obrządki używane w ich narodzie. Strzelec natenczas przemówił znowu:

— Kobiety moje spełniły już wszystko; duchy ludzi białych nie potrzebują ni ży-

wności, ni odzieży. Teraz, — dodał poglądnąc na Dawida, który otworzywszy książkę gotował się zaintonować pieśń świętą, — ja sam zostawuję resztę temu, co lepiej ode mnie zna zwyczaje chrześcian.

Indyanki skromnie usunęły się na stronę i odegrawszy w smutném widowisku główną rolę, zajęły miejsca prostych widzów. Przez cały ciąg gorących modłów Dawida, żaden znak zadziwienia lub niecierpliwości nie okazał się na ich twarzach; słuchały tak uważnie, jak gdyby mogły rozumieć jego słowa, jak gdyby podzielały z nim uczucie skruchy, ufności i nadziei.

Wzruszony tém wszystkiém co dopiero miał przed oczyma, a może też wewnętrzniém wzniesiony uczuciem, psalmista przewyższył sam siebie. Głos jego pełny i mocny po tkliwych i żałosnych jękach dziewcząt, nie tracił bynajmniej

na porównaniu, a hymn święty wyraźnie i na jednostajną nutę śpiewany tę miał jeszcze zaletę, że ci dla których szczególnie był przeznaczony mogli go rozumieć. Poważna i uroczysta cichość panowała w całym zgromadzeniu.

Kiedy Gamma zakończył ostatnie sztrofę, niespokojne i bojaźliwe spójrzenia, a razem troskliwsze jeszcze wystrzeżenie się najmniejszego szmeru, dały poznać: iż wszyscy obecni postrzegli, że ojciec nie-szczęśliwej ofiary ma przemówić. Jakoż Munro, widząc: iż przyszła mu pora wypłacić dług, który za najcięższą próbę mocy nad sobą uważać można, odkrył białe swe włosy i przybrawszy postać męzną, podniósł naprzód oczy na tłum otaczający, a potem dał znak strzelcowi, żeby go słuchał, i odezwał się w te słowa:

— Powiedz tym dziewczętom, co tyle okazały czułości i dobroci, że przywalony wiekiem i cierpieniami starzec, dziękuje

im z głębi serca. Powiedz, że Najwyższa Istota, która wielbimy wszyscy, odpłaci im za ich litościwą uczynność, wtedy gdy bez względu na różnicę płci, dostojęstwa i koloru, wszyscy staniemy u podnoża Jej tronu.

Strzelec pilnie wysłuchawszy tych słów drżącym wymówionych głosem, wstrząsnął głową jak gdyby powątpiewał o czem, i odpowiedział:

— Mówić do nich w ten sposób, jest toż samo, co im dowodzić, że śnieg nie pada w zimie, albo że słońce najmocniej doskwiera nie w ten czas, kiedy liścia na drzewach nie masz. — Obrócił się potem do kobiet i oświadczył im wdzięczność Munra, starając się podług swego mniemania zastosować wyrazy do pojęcia słuchaczy.

Nieszczęśliwy starzec znowu już był opuścił głowę na piersi, i pogrążył się w smutku ponurym, lecz młody Francuz z lekka dotknął się do jego ramienia, i

ukazał naprzód kilku młodych Indyan przynoszących lektykę zamkniętą, a potem słońce.

—Rozumiem Waćpana, — odpowiedział Munro usiłując mówić głosem moenym — rozumiem. Tak niebo chciało; podaję się jego woli. Koro, dziecię moje! jeżeli błogostawieństwo ojca pogrążonego w rozpacz może dojść aż do ciebie, przyjmij je razem z gorącą modlitwą moją! Jdźmy, panowie, — dodał pogładając w koło siebie z udaną spokojuścią, chociaż boleści szarpającej jego serce nie mógł ukryć zupełnie, — idźmy, nie mamy już tu nic do czynienia.

Hejward chętnie pośpieszył oddalić się z tego miejsca, gdzie go meztwo lada moment gotowe było opuścić. Tym czasem jednak kiedy dalsi towarzysze wsiadali na koń, zbliżył się do strzelca i przypomniał mu obietnicę zobaczenia się w wojsku angielskiem. Dosiadłszy potem swego konia



stanął przy lektyce, w której dawały się tylko słyszeć przytłumione łkania Aliny. Wszyscy biali, prócz Sokolego Oka pojechali za Munro, i wkrótce las ukrył ich przed oczyma Delawarów.

Ale skłonność jaką wspólne nieszczęście zawiązało między mieszkańcami tych lasów, i cudzoziemcami trafem przybyłymi do nich, nie wygasła tak prędko. Przez wiele lat, powieść o dziewczynie białej i młodym wojowniku Mohikańskim przynosząc rozrywkę podczas długich wieczorów zimowych, podżęgała w sercach młodych Delawarów wrodzoną nienawiść ku nieprzyjacielskiemu pokoleniu.

Nie zapomniano też i o dalszych osobach mających udział w tym wypadku. Za pośrednictwem strzelca, który długo jeszcze był niejakoś punktem śródkowym między cywilizacją, a stanem dzikości, Delawarowie otrzymali wiadomość, że nieszczęśliwy starzec, wycieńczony jak mnie-

mano powszechnie, służbą wojskową, lecz pewniej dogryziony zbytkiem cierpień, połączył się z cieniami swych ojców, a Dłoi Otwarta pozostałą jego córkę zawiózł do odległych mieszkań ludzi białych, gdzie jej łązy płynąc czas długi, ustąpiły nakoniec miejsca uśmiechowi szczęścia, daleko zgodniejszemu z jej charakterem.

Lecz wszystkie te wypadki, jako późniejsze, nie należą do naszego opowiadania. Sokole Oko przeprowadziwszy wzrokiem ludzi swojego koloru, wrócił na miejsce, gdzie się jeszcze żałobny obchód odbywał. Delawarowie oblekający już Unkasa w odzienie śmiertelne, postrzegłszy go wstrzymali się trochę, żeby mógł ostatnim spojrzeniem i słowem pożegnać przyjaciela. Zwłoki młodego wodza na zawsze potem okryto, i tymże porządkiem jak Korę schowano w ziemi, lecz tylko do czasu, ponieważ kiedyś miały być złożone w grobach przodków jego.

Cały tłum otaczał mogiłę z takimże żalem, z taką powagą, i w takimże milczeniu, jakie już opisaliśmy wyżej. Ciało złożono w postaci spoczynkowi właściwej, twarzą na wschód słońca. Oręż wojenny, broń myśliwską i wszystko potrzebne do wielkiej podróży umieszczono przy niem. Zrobiono potém otwór w trumnie, żeby duch, kiedy przyjdzie pora, mógł powrócić do swoich zwłók śmiertelnych, i z przemysłem właściwym dzikim, zwyczajnym sposobem zabezpieczono ją od zwierząt i ptaków drapieżnych.

Po tych wszystkich urządzeniach, powszechna uwaga znowu zwróciła się na Szyngaszguka, jakby spodziewając się, że wódz tak mądry przemówi nakoniec, i w okoliczności tak uroczystej nie zaniecha udzielić pociechy lub zbawiennej nauki. Nieszczęśliwy ojciec zrozumiał życzenie ludu, podniósł głowę i spokojnym wzrokiem przebiegłszy tłum smutny,

pierwszy raz od początku długiego obchodu, przemówił wyraźnie.

— I czegoż bracia moi są smutni, czego córki moje zalewają się łzami? Ze młody wojownik poszedł polować w lasach szczęśliwych! że młody wódz chlubnie zakończył swój zawód! Był on dobry, uległy, waleczny. Manitu potrzebował takiego wojownika i wezwał go do siebie. Ja zaś jestem już tylko pniem podkopanym i obciętym przez białych. Naród mój wyginał i na brzegach jeziora słonego, i na delawarskich skałach. Nikt nie powie jednak że wąż jego pokolenia stracił swą mądrość! Zostałem sam jeden...

— Nie, Sagamorze, nie zostałeś sam jeden, — przerwał Sokole Oko, nie mogąc już dotrwać dłużej w swojej filozoficznej oziębłości i czule pogładając na surową twarz przyjaciela. — Kolor naszego ciała jest różny; ale Bóg postawił nas na jednej drodze, żebyśmy razem odbywali

podróż. Nie mam ja krewnych i nawet równie z tobą powiedzieć mogę, nie mam narodu. Unkas był twoim synem, był człowiekiem czerwonym; też sama krew płynęła w waszych żyłach; jeżeli jednak kiedykolwiek zapomnę o tym chłopcu, co tak często obok mnie walczył pod czas wojny, a wypoczywał podczas pokoju, niech Ten co nas wszystkich, jakiegokolwiek bądź farby stworzył, niech Ten, mówię, w dniu sądnym zapomni o mnie! Unkas na jakiś czas rozstał się z nami; ale ty Sagamorze nie zostałeś sam jeden.

Szyngaszguk z zapałem chwycił rękę, którą Sokole Oko w uniesieniu podał mu nad świeżą mogiłą i dwaj ci dumni, nieustraszeni strzelcy, skłoniwszy głowy, bujnemi łzami zrosili ziemię pokrywającą zwłoki Unkasa.

Wśród uroczystej ciszy, jaka na widok tak tkliwy powstała, Tamemund zabrał głos i rozwiązał zgromadzenie w te słowa:



— Dostyc tego, — rzecze. — Idźcie potomkowie Lenapów; gniew Manitu nie jest uśmierzony. Czegoż jeszcze Tame-mund ma czekać? Biali są panami ziemi, daleki dla czerwonych czas wybawienia. Dzień mojego życia był bardzo długi. Rano, widziałem synów Unamisa w sile i szczęściu, a nim noc nadeszła, zniknął już z przed oczu moich ostatni wojownik starożytnego rodu Mohikanów!

**KONIEC TOMU CZWARTEGO I OSTATNIEGO.**



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26 68 63**

<http://rcin.org.pl>







F  
15435  
2